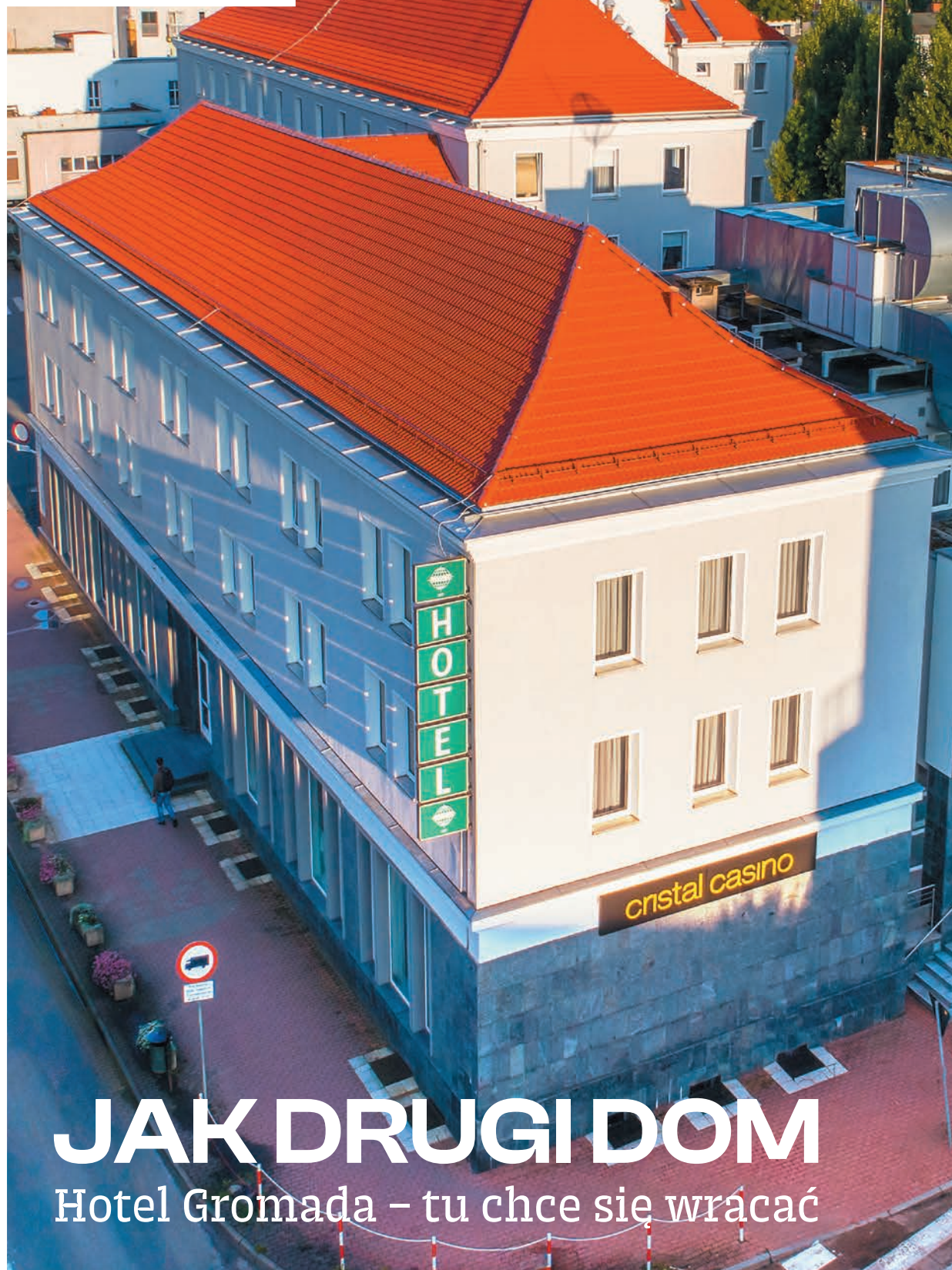




JAK DRUGI DOM

Hotel Gromada – tu chce się wracać

STR. 10

WYJĄTKOWE ILUSTRACJE
Subtelność i urok
zakłète w małych formatach

STR. 14

ROBALE W NATARCIU
Mały świat, wielkie piękno,
czyli niecodzienny piłnik przyrodniczy

STR. 18

MUZYKA I RUCH
Sandra Tracz – kompozycje
połączone z tańcem

STR. 22

SZACH – MAT
Odważny, pełen ognia i kombinacji
szachowy żywioł Klaudii Kulon





Najładniejsze łazienki w mieście!



Koszalin, Gnieźnieńska 11
tel. 94 346 09 02
www.bokaro.pl

pon. - pt. 8:00 - 18:00,
sob. 9:00 - 14:00



XXX



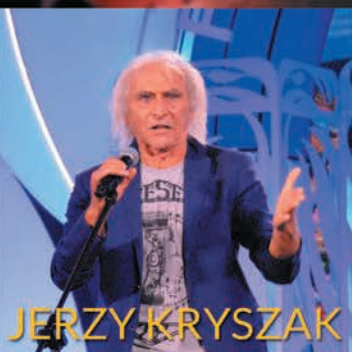
**polsat
LIVE**

Jubileuszowy Festiwal Kabaretu Koszalin 2025

Neo-Nówka



KABARET K2



JERZY KRYSZAK



ROBERT
KOROLCZYK
KABARET MŁODYCH PANÓW

KABARET CHYBA



ZDOLNI
I SKROMNI



TRZECIA
STRONA MEDALU



KOSZALIN
Centrum Pomorza

Amfiteatr 26 lipca 19.45

Letnie fascynacje



Wiadomo to nie od dziś, ale przecież nie zaszkodzi po raz kolejny powtórzyć – na marzenia i ich realizowanie dobry czas jest zawsze. Można przecież, siedząc w zimowe popołudnie pod kocem, zapragnąć nauczyć się pływać. I to marzenie zacząć realizować na basenie. Tym bardziej – i nie mam tu tylko na myśli nauki pływania, choć ją także – można wymyślić sobie marzenie i zacząć je wprowadzać w życie latem. W końcu słońce daje energię, a pachnąca zie-

leń i kwitnące rośliny (kto nie wie, jak w letnie południe pachnie na polu gryka jak śnieg biały, niech żałuje) sprawiają, że chce się żyć i działać. I niech nikt nie mówi, że kiedyś było lepiej, że młody może, a stary to już nie, że w pewnym wieku czegoś nie wypada... Skłaniam się ku byciu ciągle w wieku niepewnym, żeby mi wypadło bardziej niż nie wypadło (z pominięciem fizyczności; tu faktycznie dużo lepiej, żeby wszystko trzymało się mocno na swoim miejscu).

Warto marzyć i warto realizować marzenia. Warto planować i plany wcielać w życie. I lepiej wcześniej niż później, choć też lepiej później niż nigdy. Nakłaniam więc do letniego spełniania marzeń i poznawania siebie od tej strony, od której nieraz się w ogóle nie znamy – od strony pełnego ciekawości świata dziecka. Niech przewodnikami po poznawaniu siebie będą bohaterowie tego wydania „Miasta Plus”. Sara Olszewska opowiedziała Magdalenie Wojtaszek o tym, jak narodziła się w niej miłość do malowania i o tym, co ją w sztuce fascynuje. Z kolei Sara Tracz mówi o muzyce, którą umiejętnie połączyła z inną swoją pasją – z tańcem. Jej twórczość – tak pisze Magdalena – wymyka

się prostym definicjom. Warto poznać tę fascynującą różnorodność. O miłości do natury, uczeniu szacunku do przyrody i odkrywaniu tego, co w niej najciekawsze, opowiedziały organizatorki wyjątkowego pikniku ekologicznego. Mamy Dzień Dziecka i Dzień Matki, więc dlaczego nie stworzyć Dnia Robala? Jak się okazuje, dzieci i ich rodzice chętnie przystają na taką ekologiczną propozycję. Z Koszalina do światowej czołówki szachowych mistrzów powędrowała kolejna nasza bohaterka. Klaudia Kulon tajemniczy i fascynujący świat figur i pionów poznała w wieku siedmiu lat. Teraz – jako dorosła kobieta – sięga po znamienite trofea. Nawet międzynarodowe.

Chwalimy się w tym numerze naszym redakcyjnym kolegą. Michał Chmielewski ma na swoim koncie wydane cztery książki i nie mówi tym ostatniego słowa. Zafascynowany literaturą szuka wciąż interesujących tematów, które ma chęć ubrać w zdania, nadać rytm i podarować czytelnikom. A oni (właściwie powinniśmy napisać „my”, bo też należę do grona miłośników jego pisarskiego talentu) tylko czekają na ten podarunek.

Robert Nawrocki zabiera nas do Egiptu, a Justyna Horków dużo bliżej, ale też ciekawie – do poznania Korony Gór Polskich. Co to takiego? Miłośnicy wędrówek po szczytach z pewnością wiedzą, dowiedzmy się i my.

Jest co czytać, można na lekturę poświęcić letnie poranki i wieczory albo te dni, kiedy za oknem ciemniejsze chmury, a w duszy pragnienie poznawania nowego. Poznajmy więc, cieszymy się latem i tym, co nam przynosi każdy dzień. Pięknych wakacji Państwu życzę z nadzieją, że będzie chwila na odpoczynek i znalezienie nowej pasji. Bo to ubarwia nam życie. Kolorowości! I miłej lektury!

Joanna Wyrzykowska
redaktorka naczelna

Subiektywny przegląd wydarzeń



Prawie 70 lokalnych organizacji i stowarzyszeń wzięło udział w Koszalińskim Festiwalu Organizacji Pozarządowych. To pokazuje, że koszalińczanie łączy pasję i chęć pomagania. Dzięki zorganizowanej zbiórce Pracownia Pozarządowa już wkrótce przeniesie się do nowej siedziby.

W Kołobrzegu pewien rolnik podniósł z ziemi kamienną figurkę, która okazała się archeologiczną sensacją na skalę europejską. Wenus z Kołobrzegu, bo tak ją nazwano, będzie można podziwiać w Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu.

To już 44. Festiwal Debiutów Filmowych „Młodzi i Film”. Tegoroczna odsłona mocniej niż zwykle zaakcentowała społeczny wymiar młodego kina – pełnego empatii, odwagi i prawdziwego zaangażowania.



Narasta społeczne niezadowolenie z powodu planów wobec koszalińskich przedszkoli. Decyzje władz miasta o przeniesieniu przedszkoli wywołały burzliwą dyskusję na temat kształtu lokalnej polityki.

Oficjalnie w całym kraju jest ponad 30 tys. bezdomnych. Jednak to bardzo optymistyczne, szacunkowe założenie. Przedstawiciele organizacji wspierających osoby bezdomne mówią o ponad 100 tysiącach. Powody bezdomności są różne i – oczywiście – nie warto ich oceniać. Lepiej wspierać.

12-latka z Koszalina przez ponad rok była ofiarą przemocy rówieśniczej. Hejt w szkołach staje się powszechnym zjawiskiem w całej Polsce, z którym ciężko walczyć, a który może doprowadzić do nieodwracalnej tragedii.

M
MIASTO
PLUS

Redaktor naczelna:
Joanna Wyrzykowska

tel. 94 720 24 00
redakcja@miasto.koszalin.pl

Wydawca:
Telewizja Kablowa Koszalin Sp. z o.o.
ul. Kotarbińskiego 3, 75-352 Koszalin
tel. 94 720 23 00

Redakcja:

Michał J. Chmielewski, Radosław Czerwiński, Justyna Horków,
Monika Kwaśniewska, Anna Makochoń, Izabela Nowak,
Robert Nawrocki, Magda Pater (foto), Mateusz Prus,
Tomasz Wojciechowski, Magdalena Wojtaszek

Dział reklamy:

Ewa Langer, tel. 94 720 23 06, ewa@tkk.net.pl
Agnieszka Szkapiec, tel. 94 720 24 11,
agnieszka.szkapiec@miasto.koszalin.pl

Grafik:

Piotr Witkowski

Ruszaj razem z nami!

Ściągnij aplikację Rowery na Forum
i poznawaj uroki nadmorskich tras.

www.rowerynaforum.pl



FORUM
KOSZALIN

Hotel Gromada: miejsce, w którym chciałoby się zamieszkać

Pierwsze wrażenie zawsze jest najważniejsze. Dotyczy ludzi, wydarzeń, miejsc. Ludzi i miejsc w szczególności, ponieważ jesteśmy relacyjni i terytorialni. Optymalnie więc byłoby przebywać z miłymi, sympatycznymi ludźmi w ciepłych, przytulnych wnętrzach. Gdzie nawet światło korytarza jest tak ustawione, że nie razi, nie przeszkadza. Gdzie fotel w holu stoi pod takim kątem, że dokładnie z tej perspektywy coś widać najlepiej. Gdzie posiłki są równocześnie lekkie, smaczne i pożywne. Gdzie wszystko znajduje się dokładnie tam, gdzie powinno być. Gdzie nic nie zakłóca spokoju, którego człowiek potrzebuje, żeby odpocząć i spędzić noc. Jeżeli szukacie miejsca o parametrach wygodnego domu, to Hotel Gromada Koszalin otwiera przed wami swoje podwoje.

Tekst: Piotr Pawłowski

Zdjęcia: Hotel Gromada Koszalin

To nawet nie jest zaproszenie, to pokusa. Najtrudniej znaleźć i odkryć coś, co zawsze było i jest na widoku: „Znam Gromadę, byłem w restauracji hotelu na obiedzie i spotkaniu z przyjaciółmi tak z... – moment zastanowienia – no, tak, ładnych kilka lat temu. Myślę, że warto odwiedzić to miejsce, odświeżyć pamięć”.

A po dalszym zastanowieniu: „Zresztą, to widzę przejeżdżając, teraz Gromada wygląda zupełnie inaczej. Patio przeszklone zachęca do wejścia, oznakowany parking, maszty strzegą bezpieczeństwa aut gości, z boku jest rodzaj muzeum, a z drugiej strony kasyno. Słyszałem, że jedno z zaledwie dwóch w regionie. Ktoś mówił, że mają dobrą kuchnię, a poza tym hotel szczyci się chyba już ostatnią, a więc jedyną w Koszalinie galerią sztuki”.

W tych murach mieszka dyskrecja

Czy istnieje lepsza promocja niż rekomendacja? Tak, to ciekawość, która przyspiesza decyzję. Oczekiwanie komfortu idzie w parze z potrzebą jego poszukiwania. „Trzeba kogoś lub coś

znaleźć, żeby poczuć spełnienie” – napisał klasyk, co najlepiej oddaje naturę ludzi otwartych na nowości i zmiany.

Hotel Gromada Koszalin, w swojej 65-letniej historii, bo właśnie obchodzi zaszczytny jubileusz, tych zmian przeżył wiele. – Ukształtowały to miejsce – przyznaje Wiesław Świś, prezes hotelu. – Nie ma zbyt wielu tak charakterystycznych dla miasta budynków. To nie tylko gościnna wizytówka Koszalina, lecz także milczący świadek wydarzeń historycznych.

Lubimy przeszłość, zwłaszcza lokalizacji, które przyciągają niewytłumaczalną energią. Z Gromadą tak było już, kiedy niemal w tym samym miejscu przez 120 lat stała najpierw karczma, a następnie niemiecki hotel Schumacher. Wojna nie oszczędziła obiektu, który dzisiaj, gdyby przetrwał, miałby niemal 200 lat, choć zapewne wyglądałby zupełnie inaczej niż jego historyczny pierwowzór.

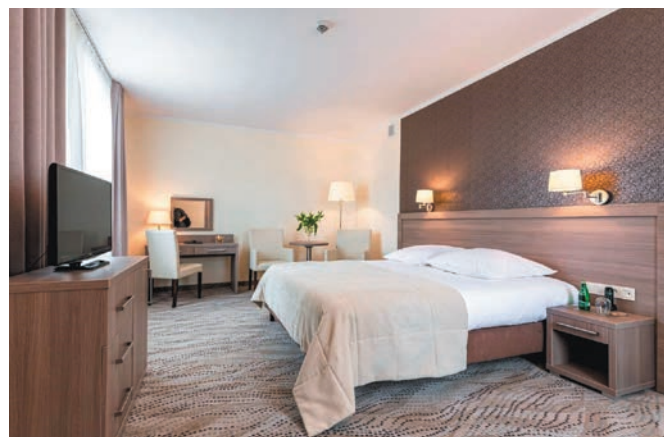
Po odgruzowaniu i odbudowie Koszalina w pobliżu obrysu fundamentów Schumachera powstał pierwszy w mieście po wojnie hotel, który mógł przyjąć 60–70 osób – Jałta; to na część konferencji krymskiej 1945 r.

Od powojennej Jałty...

Jałta miała swój urok z innej epoki, sznyt gościńca z PRL, co dzisiaj kojarzy się nostalgicznie. Nowe pokolenia nie kojarzą Polski Ludowej z ograniczeniami i polityką. Na potęgę kupują meble z lat 50. i 60., chcą mieszkać i żyć w imitacjach wnętrz kojarzących się z „późnym Gierkiem”. Nie przeszkadza im patyna, chętnie zaglądają do rozsianych po kraju muzeów vintage.

W Koszalinie, żeby przenieść się w czasie i przestrzeni, nikt nie musi oddalać się od centrum. Dokładnie pod Hotelem Gromada Koszalin, w dawnym schronie wojennym, Stowarzyszenie Historyczno-Eksploracyjne Odkrywcy 10 lat temu urządziło Salon Historyczny. W kilku pomieszczeniach zaaranżowane zostały wystawy z różnych dekad i okresów historycznych. Największe wrażenie na zwiedzających robią ekspozycje przedmiotów codziennego użytku z PRL.

Tylko tu można zobaczyć: meblościanki, figurki żywiczne, wazony z pleksi, popielniczki, sprzęty agd, kinkiety, meble obite sztruksem, metalowe pudełka po ciastkach, ciężkie i wielkie sztucze, kredensy, nesesery, stare gazety partyjne, pocztówki, stroje. To miejsce, podobnie, jak restauracja, galeria, kasyno,





widok z piętra na ulicę, stanowi symbol hotelu, otwartego dla wszystkich i dla każdego.

... do współczesnej Gromady

Po transformacji 1989 r. i przejęciu obiektu przez miejscowych przedsiębiorców, Jałta stała się Arką, a 10 lat później – nowoczesną Gromadą z częścią, która, po otrzymaniu czterech gwiazdek w skrzydle nad kasynem, nosi dzisiaj nazwę Gromada Arka****. Od niemal 25 lat właścicielem obiektu jest Ogólnokrajowa Spółdzielnia Turystyczna Gromada z siedzibą w Warszawie.

Historia współczesna hotelu to dwie dekady remontów, modernizacji. Ciągłe i duże inwestycje, zakończone w 2024 r. wymianą dachu. – Każdy etap miał dwa cele: podniesienie standardu i uczynienie z Gromady ważnego elementu w krajobrazie miasta – wyjaśnia prezes. Obecnie Gromada to 74 pokoje dla ponad 120 osób. Hotel cieszy się uznaniem grona gości zagranicznych, głównie z Niemiec, ale także Austrii, Norwegii, Szwecji, Czech.

Rozwój najlepiej oddaje tytuł jednej z wielu nagród, którą hotel otrzymał w ostatnich latach. Związek Przedsiębiorców i Pracodawców, przyznając statuetkę Dobrej Firmy postawił koszalińską Gromadę wśród „innovacyjnych i najszybciej rosnących przedsiębiorstw Pomorza Zachodniego”. „Ze względu na centralne położenie [hotel] jest doskonałą propozycją dla odbywających osób podróż służbową i turystów” – czytamy w uzasadnieniu do wyróżnienia. Trafniej nie sposób tego ująć.

Wracamy tam, skąd nie chcemy wyjeżdżać

Co powoduje, że w jednym miejscu czujemy się dobrze, a do innego nie chcemy wracać? Stonowane połączenie okazałości z uniwersalnością użytkową pomieszczeń, które powinny przyciągać nie profuzją lub barokowym przepychem, lecz pełną umiaru przyjazną gościnnością. We współczesnym świecie, zdominowanym przez prestiżowość, wzrok chętniej zatrzymuje się na dających wytchnienie elementach otoczenia. Kawa lub herbata w ciszy i miękkości foteli hotelu pozwala zebrać myśli, zaplanować działania, skupić się na tym, co ważne, a nie hałaśliwe.

Zwrócenie uwagi nie zawsze musi wiązać się z jej odwróceniem. Tak jest z pojęciem konkurencyjności. Inny paradoks nowej rzeczywistości jest taki, że coraz częściej zaciszny, zabytkowy, pozbawiony agresywnych neonów i muzyki w holu hotel z tradycjami, klasą i szykowną elegancją jest wybierany przez gości kapitałowych skarbonek, w których chrom i nikiel udają magnes.

Nic nie ma większej siły promocyjnej od rekomendacji zadowolonego klienta. Kiedy przeglądam w internetowych serwisach rezerwacyjnych oceny wystawione przez gości koszalińskiej Gromady, najczęściej natrafiam na trzy zdania: „Hotel godny polecenia. Brak uwag. Wszystko na swoim miejscu”. Dlatego każdego roku hotel odwiedza 25 tys. osób, z czego połowa to obcokrajowcy. Warto osobiście lub za pośrednictwem swoich gości dołączyć do tego prestiżowego grona.

Dwa Gryfy Zachodniopomorskie na 65-lecie hotelu

Z okazji 65-lecia koszalińskiego Hotelu Gromada, który od niemal 25 lat należy do Ogólnokrajowej Spółdzielni Turystycznej Gromada, pod koniec maja 2025 r. odbyła się wyjątkowa uroczystość. W reprezentacyjnej sali szmaragdowej hotelu przedstawiciele zarządu spółki odebrali z rąk wicemarszałka zachodniopomorskiego Jakuba Kowalika Odznakę Honorowego Srebrnego Gryfa Zachodniopomorskiego. Złotego Gryfa otrzymał natomiast Jerzy Zaroda, jeden z pierwszych dyrektorów hotelu po transformacji i jego sprywatyzowaniu na początku lat 90. XX w.

Tekst: Paweł Łukasiewicz
Fot. Hotel Gromada Koszalin

Wyróżnienia zostały przyznane, kiedy wicemarszałkiem był jeszcze obecny prezydent Koszalina Tomasz Sobieraj. Odznaczeniom towarzyszyła okolicznościowa gala. Poza osobami wymienionymi, wzięli w niej udział między innymi: prof. Danuta Zawadzka, rektor Politechniki Koszalińskiej; poseł Dariusz Wiczorek, były minister nauki i szkolnictwa wyższego; prof. Piotr Zientarski, były senator i poseł, sędzia Trybunału Stanu; Dawid Krystek, wicewojewoda zachodniopomorski; dr inż. Artur Wezgraj, przewodniczący Rady Miejskiej Koszalina, do niedawna kanclerz uczelni; dr Piotr Boćko, rektor Wyższej Szkoły Straży Granicznej.

Twórcze wizje rozwoju

Na sali obecni byli przedstawiciele: przedsiębiorstw, urzędów, instytucji, organizacji, mediów, środowisk, miejscowości, władz warszawskich spółdzielni i spółki koszalińskiej Gromady, na czele z Krzysztofem Moczulskim, prezesem zarządu w Warsza-

wie i Czesławem Marcem, byłym posłem na sejm, a obecnie przewodniczącym Rady Nadzorczej spółki w Koszalinie.

W sumie około 100 znamienitych osób. A ci, którzy z uwagi na wcześniej zaplanowane zobowiązania przybyć nie mogli, wyśtosowali listy gratulacyjne, jak np. Stanisław Wziątek, podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej, który w korespondencji napisał: „Jestem pełen uznania dla wprowadzonych zmian strukturalnych i organizacyjnych [w hotelu], które zyskały uznanie i spowodowały rozwój Państwa instytucji. (...) Niech jubileusz będzie czasem wypełnionym wspomnieniami o niezwykle bogatej historii Hotelu Gromada i twórczymi wizjami na temat dalszego rozwoju tego wyjątkowego miejsca”.

Trwały wpis do historii miasta

W roli gospodarzy spotkania wystąpili: Wiesław Świś, prezes Hotelu Gromada Koszalin, i Piotr Huzar, prezes Koszalińskiej Izby Przemysłowo-Handlowej, która w porozumieniu z Izbą Gospodarczą Hotelarstwa Polskiego, wnioskuje o odznaczenia.

Po powitaniu gości prezes wyjaśnił: – Świątujemy w tym roku 65-lecie hotelu. Wprawdzie oddany do użytku w 1960 r. najpierw nazywał się Jalta, a po 1991 r. Arka jako kontynuatorzy od prawie 25 lat tradycji tego miejsca i funkcji obiektu z dumą honorujemy ten jubileusz. Tym bardziej że wspólnie z poprzednikami wpisaliśmy hotel w historię miasta i regionu.

O odniesieniu do przyznania Odznaczenia Złotego Gryfa, Jerzy Zaroda, w przeszłości zasiadający również na stanowisku wiceprezydenta Koszalina, w ocenie samorządu terytorialnego i biznesowego, a przede wszystkim władz spółki Gromada Koszalin, po transformacji 1989 r. odegrał „kluczową rolę w unowocześnieniu, zmodernizowaniu, rozwoju i promocji [hotelu] na arenie krajowej i międzynarodowej w latach 1991–1993”.

Miejsce, dokąd chce się wracać

Jerzy Zaroda przyznał, że pomimo zapowiedzi, iż wyróżnienie otrzyma, wysoka godność wciąż jest dla niego zaskoczeniem:





– Od wydarzeń, o których mówimy, minęło ponad 30 lat. Mój epizod z hotelem miał miejsce w okresie niezwykle ciekawym historycznie. Zapewne to wpłynęło na intensywność działań w tamtym okresie. Czuliśmy, że po prostu nie mamy czasu do stracenia. Czy udało się wszystko? Z pewnością nie, ale przynajmniej położyliśmy podwaliny pod obecną świetność już nie Jałty i nie Arki, lecz Gromady.

Piotr Huzar tak przedstawił hotel do odznaczenia: – Dzięki przyjmowaniu dziesiątek tysięcy gości rocznie, Gromada odgrywa kluczową rolę w budowaniu pozytywnego wizerunku Pomorza Zachodniego. Miejsca nowoczesnego, bezpiecznego i otwartego na gości z całego świata. Warto zauważyć, że dla wielu gości jest to pierwsze spotkanie z naszym regionem. Na uwagę zasługuje model zarządzania, oparty o strukturę spółdzielczą. W czasach dominacji korporacyjnych sieci hotelowych, Gromada stanowi przykład skutecznego zarządzania.

Kwiaty i listy gratulacyjne

Prezes Gromady podziękował wszystkim osobom i urzędowi zaangażowanym w procedurę przyznania odznaczeń: – Dziękuję za docenienie naszego trudu i zaangażowania, by położony w centrum miasta hotel stale i za pośrednictwem wielu inicjatyw, obecny był w przestrzeni miasta i świadomości mieszkańców. Podziękowania składałam również byłym i obecnym pracownikom Gromady za wszystko, co uczynili, aby hotel był gościnną wizytówką Koszalina.

W części przeznaczanej na wypowiedzi, prof. Danuta Zawadzka zabrała głos wspólnie z Agnieszką Mackojć, zachodniopomorskim wicekuratorem oświaty. Panie powinszowały laureatom godności, przekazały kwiaty i listy gratulacyjne. W części artystycznej natomiast uroczystość uświetnił występ utalentowanych skrzypaczek, a równocześnie uczennic Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych w Koszalinie.

Sztuka w kameralnej skali

„Rysunki i obrazy dla dzieci – tu. Ilustracja” to tytuł wystawy, którą można było oglądać w Mediatece Koszalińskiej Biblioteki Publicznej do końca czerwca. Autorką prac jest Sara Olszewska, asystentka Katedry Grafiki Politechniki Koszalińskiej. Była to jej pierwsza indywidualna wystawa, na której zaprezentowała trzy cykle prac. Ilustracje odzwierciedlają zarówno jej wrażliwość, jak i bogate doświadczenie zawodowe. Sara już od najmłodszych lat czuła smykałkę do rysowania. Z biegiem lat doskonaliła warsztat. Przejawiające się w jej pracach motywy to głównie zwierzęta i dzieci. Na wystawie mogliśmy oglądać także pejzaże m.in. naszej nadmorskiej okolicy. A wszystko to zostało wykonane w małych, starannie dobranych formatach, które zachwycają subtelnością i niepowtarzalnym urokiem. Warto też wspomnieć, że ilustratorka na co dzień współpracuje z takimi wydawnictwami jak Dwie Siostry, Zielona Sowa, Oleśniejuk czy Fundacja Nauka. To lubię.

Tekst: Magdalena Wojtaszek

Zdjęcia: Izabela Rogowska

Osobista opowieść

Wystawa „Rysunki i obrazy dla dzieci – tu. Ilustracja” mogła się odbyć dzięki trzem czynnikom. Po pierwsze, przedsięwzięcie zdobyło uznanie prezydenta Koszalina, artystka otrzymała stypendium z zakresu kultury. Po drugie, ilustratorka znalazła idealną, kameralną przestrzeń – klimatyczną Mediatekę. Po trzecie, Sara Olszewska w końcu była gotowa podzielić się swoim artystycznym światem, przygotowując aranżację z dbałością o każdy detal.

– To był jakiś taki impuls. Pomyślałam, że dzięki tej wystawie mogę rozwinąć się jako ilustratorka, kiedy zobaczę jak to jest. W zasadzie nie spodziewałam się tego, co poczuję. Największe

emocje towarzyszyły mi po zamontowaniu wszystkich prac. Miałam poczucie, że mocno się uzewnętrzniam, ale to było nawet przyjemne. Oczywiście stres również się pojawił, bo nagle zdałam sobie sprawę, że bardzo się otworzyłam. Miałam wrażenie, jakbym pokazała część domu, najwrażliwszą część siebie – wspomniała.

Sara zdecydowała się swoje prace umieścić w przytulnej, klimatycznej przestrzeni, ale też nieprzypadkowej. W miejscu bliskim jej prywatnie, które po sąsiedzku posiada wiele ciekawych książek. Ilustracje musiały zostać umiejętnie wyeksponowane, żeby nie zginęły na tle intensywnego, nasyczonego kolorami wnętrza.

– Dzięki tej zabudowie delikatne, często niewielkie formaty zyskały osobny „oddech” – uniknęły zderzenia z intensywnym tłem ścian i przyciągały wzrok zwiedzających. Każdą strefę wyposażałam w stonowane tła dobierane pod kątem kolorystycznym do prezentowanych prac, aby zachować spójność i podkreślić ich charakter – podkreślała.

Ekspozycja przenosiła zwiedzających przez trzy wzajemnie przenikające się obszary twórczości Sary. Najpierw można było podziwiać książkowe kadry – czyli wybrane ilustracje stworzone dla wydawnictw. Potem wkraczały portrety, gdzie delikatna kreska i dbałość o detal ukazywały charakter przede wszystkim psów. Całość dopełniały nadmorskie pejzaże, widoki które zatrzymały Sarę w Koszalinie. Prace były inspirowane okolicami Koszalina, głównie dzielnicą Mielna, wszystkim znaną jako Unieście. Wśród pejzaży znalazło się jeszcze jedno wspomnienie z wyprawy w Beskid, które dla Sary ma szczególne znaczenie.

– To jest taki moment, który był dla mnie ważny w tej mojej części eksploracji malarstwa. To była chwila, w której poczułam swobodę, dlatego ta praca tak wiele dla mnie znaczy.

Szkic za szkicem

Sara podkreśla, że nawet przy projektach cyfrowych najpierw sięga po ołówek i papier. Ten analogowy etap pozwala jej uwolnić wyobraźnię i zbudować bazę kompozycji, zanim praca trafi do programu graficznego. To doświadczenie stara się przekazywać studentom podczas zajęć w murach uczelni. Sama jest absolwentką Instytutu Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej. W 2018 roku została wyróżniona dyplomem „FONT nie czcionka”. Pasjonuje się grafiką warsztatową, a w szczególności motyptią. Inspiruje ją Polska Szkoła Ilustracji. Początkowo rysowanie





wanie miało być tylko hobby, a przerodziło się w zawód, który sprawia Sarze wiele satysfakcji.

– To, że mogę zajmować się ilustracją zawodowo, odczułam dopiero na studiach, ale mówiono mi o tym od bardzo dawna. Od najmłodszych lat każdy kojarzył mnie z rysunkiem. W jakimś stopniu widziano we mnie potencjał. Nigdy nie czułam się w tym dość dobra. Takim przełomem, w którym uwierzyłam, że to nie komplementy motywacyjne, żeby było sympatycznie, był moment, w którym trafiłam na lekcje przygotowawcze do Akademii Sztuk Pięknych do profesora Bronisława Cichego, mając 12 lat, zupełnie przez przypadek. Szłam na spacer z dziadkiem i na chwilę mieliśmy wejść do waleckiego Domu Działkowca, ponieważ z kimś chciał zamienić słowo. Czekając na korytarzu zauważyłam salę, w której było dużo sztalug. Byłam oszołomiona, bo nigdy wcześniej nie miałam styczności z takim miejscem. Wspomniany wykładowca mnie zauważył i zaprosił. Dał mi możliwość narysowania czegoś na płótnie. Poczułam wtedy jakąś taką dozę profesjonalizmu i cieszyło mnie to bardzo. Pamiętam, że była wtedy jesień i to było tematem przewodnim zajęć. Miałam do dyspozycji suche pastele, z którymi nie miałam doświadczenia. Narysowałam więc tę porę roku, która miała w sobie ukrytą twarz i to tak jakoś wyszło dosyć swobodnie. Profesor był zachwycony, a ja miałam poczucie, że coś mi się udało. Zaprosił mnie na zajęcia. Nie trwało to długo, ale nadal rysowałam w domu. Postanowiłam, że wykorzystam swoje umiejętności, skoro mam w sobie to „coś”. Powiedział mi wtedy, że jeżeli będę tak pracować dalej, to jest duże prawdopodobieństwo, że może stać się to moim

Choć AI potrafi przyspieszyć część procesu (rozciąganie kadru, generowanie wstępnych szkiców), to żadna technologia nie zastąpi wrażliwości i pomysłu twórcy.

zawodem. Później w liceum przypominałam sobie tę sytuację, skontaktowałam się z nim, a on pomógł mi się przygotować na egzaminy wstępne.

Pierwszą swoją propozycję zilustrowania książki wysłała do wydawnictwa w 2017 roku. To było jeszcze przed skończeniem studiów. Otrzymała wtedy propozycję stworzenia prac do całej serii.

– Był to taki trochę skok na głęboką wodę, który niósł za sobą ogromną odpowiedzialność. Musiałam trzymać się ram i od tego się zaczęła współpraca z wydawnictwami. To pokazało mi, że warto się starać i spełniać marzenia. Wystarczy być wiarygodnym. Jak mawiał francuski malarz, Henry Matisse – „Ważne jest to, żeby nie dążyć tak bardzo do oryginalności, tylko starać się pielęgnować swój warsztat”. Bo jeśli jest jakość i jesteśmy prawdziwi, to po prostu to wychodzi. Dostaję wiele miłych wiadomości od obcych ludzi, że poznali, że to ja. Jestem wtedy zaskoczona, bo myślę sobie, że odbiegłam od swojego stylu, patrząc na oczekiwania autora książki, a jednak ktoś dostrzegł moją kreskę, jakiś element, coś, co wskazało, że ja to wykonałam – opowiadała.

Obecnie najczęściej wykorzystywane przez Sarę techniki to przede wszystkim ołówki, czasami kredki. Maluje też farbami olejnymi.

Doświadczenie z popularyzacją nauki

Sara często projektuje z myślą o najmłodszych. Jest autorką ilustracji w książkach dr. Tomasza Rożka. Pomaga dzieciom ła-

twiej zrozumieć naukę, m.in. w publikacji „Jak działa człowiek?” czy „Jak działa kosmos?”

– Przy tej publikacji czułam największą swobodę twórczą, a jednocześnie wsparcie ze strony autora i fundacji. Postanowiłam, że wejdę w ten projekt z samej sympatii do dr Tomasza Rożka. Dla mnie to bardzo duże wyróżnienie, że mogłam wspierać taką osobę. To jest nasz reprezentant w Europejskiej Agencji Kosmicznej. Wybitna osoba, a z drugiej strony bardzo skromna.

Jedna z ilustracji znalazła się także na wystawie.

– Potraktowałam moje ilustracje z książek trochę jako takie kadry. Dlatego była mowa wcześniej o tej uważności, chwili oddechu na tej wystawie, bo inaczej się odczytuje moje prace, kiedy są oprawione a inaczej, kiedy współpracują z tekstem – podkreślała.

Warsztaty i działania studenckie

Podczas przygotowań do wystawy Sara kontynuowała zajęcia z młodzieżą. Od października 2024 roku jest asystentką w Katedrze Grafiki na Wydziale Architektury i Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej. W swoich działaniach stara się eksponować prace młodych twórców. Jej studenci zaangażowali się w warsztaty organizowane wspólnie z Muzeum w Koszalinie, tworząc z uczestnikami wydarzenia plakaty z użyciem szablonów i agrowłókniny. Po raz pierwszy prace młodych

grafików trafiły na wystawę w przestrzeni publicznej poza uczelnią.

– Mamy plan ułożony na najbliższe pół roku. Nie wszystko jest od nas zależne, ale każde ich działanie chciałabym zwieńczać małą wystawą. Chodzi o to, żeby pokazać, że to wszystko jest po coś, że nie robią tego tylko do szuflady. Podobają mi się zajęcia ze studentami, ponieważ są bardzo otwarci. Chcą

uczestniczyć w wielu wydarzeniach artystycznych, wychodzić do ludzi. Podczas warsztatów w muzeum dali z siebie wszystko. Pracowaliśmy w sali sakralnej, gdzie tego dnia wyłączono prąd, nie byliśmy od tego zależni, byliśmy samowystarczalni. Studenci zabezpieczyli salę. Byli tacy sumienni i odpowiedzialni, a zainteresowanie zajęciami z nimi było potężne. Z kolejki przed muzeum dobiegały

śluchy, że mieszkańcy chcą wziąć udział w warsztatach przygotowanych przez studentów koła naukowego „Kreatura”. Myślę, że dołączyłam do składu akademickiego w dobrym momencie, czuję że możemy wiele zrobić. Staramy się przyciągnąć młodych ludzi do Koszalina, ale również zatrzymać tych którzy chcą stąd wyjechać – podkreśla.

AI w grafice

Ilustratorka podkreśliła, że choć AI potrafi przyspieszyć część procesu (rozciąganie kadru, generowanie wstępnych szkiców), to żadna technologia nie zastąpi wrażliwości i pomysłu twórcy. Doświadczenie z projektem okładki jednej z książek, gdzie znajdowały się wewnątrz jej autorskie ilustracje – początkowo wykonanej przez AI, a potem zastąpionej jej wersją – potwierdziło, że ludzki warsztat i autentyczność wciąż są niezastąpione.

– To był moment, w którym mówiło się o sztucznej inteligencji z dużym niepokojem. Była ona też niedoskonała, widać było wiele błędów w tym, co wygenerowała. Dostałam kilka referencyjnych obrazków. Nie pamiętam, z której strony padła propozycja, żeby wygenerować okładkę do książki przez AI. Wtedy pojawiało się dużo takich ilustracji w czasopiśmie. Te postacie wyglądały trochę jak połączenie Pixara z jakimiś lalkami, które miały duże głowy i oczy w porównaniu do pozostałej reszty ciała. Oczywiście to jest kwestią gustu, ale byłam zaniepokojona czy taka forma zadziała na plus dla książki. Musiałam to przetrwać, przyjął, że nie jest to moja rola i zaakceptowałam decyzję. Chwilę po tym jak książka została wydana nastąpił zwrot akcji, wydrukowano moją wersję okładki w formie obwoluty. Kiedy dowiedziałam się o tym było mi niezmiernie miło i przyznam, że kamień spadł mi z serca, że sztuczna inteligencja nie była mnie w stanie zastąpić – odparła.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia

Wystawa Sary Olszewskiej była świadectwem jej pasji i profesjonalizmu. Pokazała, że ilustracja to nie tylko obrazek do tekstu, ale pełnoprawna forma artystycznej wypowiedzi, łącząca tradycyjne techniki z nowoczesnym warsztatem. Dzięki ekspozycji w Mediatece, mieszkańcy Koszalina mogli zobaczyć, jak różnorodne i inspirujące może być tego rodzaju spojrzenie na świat oraz ile niesie za sobą pozytywnych emocji. Sara oprócz tego, że na co dzień jest zaangażowana w pracę ze studentami to w dalszym pracuje nad kolejnymi ilustracjami do wydawnictw. Jednak to, co powstaje, zawsze jest owiane tajemnicą do czasu, kiedy książka ukaże się półkach sklepowych i w internecie.



GABINET GINEKOLOGICZNY

Maria Kopaczyk-Pstrokońska

SPECJALISTA GINEKOLOG-POŁOŻNIK

Profilaktyka onkologiczna

Antykoncepcja

Zaburzenia okresu okołomenopauzalnego

USG piersi

**W gabinecie wykonywane są zabiegi w zakresie
GINEKOLOGII ESTETYCZNEJ z wykorzystaniem**

- **LASERA ENDOVAGINALNEGO APHRODITE**
- **URZĄDZENIA VagiTight HIFU**
- **TROPOKOLAGENU**
- **OSOCZA BOGATOPŁYTKOWEGO I FIBRYNY**
- **KWASU HIALURONOWEGO NEAUVIA**

w następujących wskazaniach:

- wysiłkowe nietrzymanie moczu
- zespół luźnej pochwy
- suchość pochwy (atrofia)
- rewitalizacja stref intymnych u kobiet dojrzałych i po porodach
- poprawa jakości życia seksualnego (O-shot i G-shot)
- wsparcie w leczeniu ran i blizn poporodowych i pozabiegowych
- leczenie zmian skórnych sromu i krocza (liszaj twardzinowy)
- przerost warg sromowych mniejszych (labioplastyka)

Rejestracja telefoniczna: **tel. 94 333 39 37** lub na **znanylekarz.pl**

Poniedziałek-piątek 8.00-20.00

Koszalin, ul. Głowackiego 7, e-mail: **mkpstrokonska@gmail.com**

Czarodziejki świata w skali mikro

Trzy kobiety: Justyna Horków, Agata Masztalerz i Agnieszka Szelaąg, które spotkały się zupełnie przypadkowo, ale za to w odpowiednim miejscu i o odpowiednim czasie, postanowiły wspólnie zorganizować niecodzienny piknik przyrodniczy. „Dzień Robala” powstał z ich umiłowania do natury i działań społecznych.

Tekst i zdjęcia: Matylda Strzelecka

Pohukiwanie puszczyka

Nasze bohaterki poznały się, jak na wielbicielek środowiska naturalnego przystało, w pięknych okolicznościach przyrody. – Po raz pierwszy spotkałam Agnieszkę w Ogrodach Hortulus w Dobrzycy, podczas jednej z imprez plenerowych, jakie tam organizujemy. Szybko nawiązałyśmy kontakt. Ponieważ Agnieszka prowadzi gospodarstwo agroturystyczne, czyli Dobrzycówkę Zakątek Inspiracji, co roku korzystaliśmy z jej oferty noclegowej i wysłaliśmy do niej uczniów, odbywających praktykę w ogrodach – wspomina Agata Masztalerz. Z kolei Justyna poznała Agatę podczas rajdu na orientację „Orientacja w Raju”, który odbył się w Mostowie. – Spodobały mi się umiejętności organizatorskie Agaty i jej pomysłowość. Naprawdę musieliśmy się na tym rajdzie natrudzić, żeby znaleźć wszystkie punkty kontrolne – mówi Justyna Horków. A wszystkie trzy miały okazję się zapoznać podczas „Nocy Sów”, również organizowanej przez Agatę. To w jej głowie, podczas wieczornego spaceru tropem puszczyka, narodził się pomysł, aby połączyć ich talenty i zdolności. A trzeba przyznać, że tych naszym bohaterkom nie brakuje.

Piesze wycieczki połączone z warsztatami pozwalają odpocząć i docenić otaczający nas świat. A dla rodziców opiekujących się dziećmi, zwłaszcza z niepełnosprawnościami, to doskonały moment, aby na chwilę zapomnieć o codziennych problemach.

Optymizm, empatia i ekologia

Choć każda działa na innym polu zawodowym, to łączy je właśnie taki wspólny mianownik. Agnieszka Szelaąg to nauczycielka, oligofrenopedagog, terapeutka pedagogiczna i lokalna aktywistka. Pracuje i wspiera rodziny z niepełnosprawnościami. – Odkryłam, że natura daje cudowne ukojenie i uspokojenie. Stworzyłam Dobrzycówkę z myślą o tym, że będzie to bezpieczna przystań, w której dzieci mogą eksplorować własne emocje, również poprzez kontakt z naturą. Dlatego w swoich zajęciach często korzystam z elementów hortiterapii. To terapeutyczna metoda zajęciowa, w której opieramy się na kontakcie z roślinami i pracy wykonywanej w ogrodzie. Ogrodoterapia jest świetną metodą, która pomaga obniżyć poziom stresu czy lęku, więc znacząco wpływa na poprawienie jakości życia – tłumaczy Agnieszka Szelaąg.

Agata Masztalerz od ponad 20 lat jest związana z branżą turystyczną. Swoimi wędrowskimi pasjami dzieli się z innymi podczas organizowanych przez siebie rajdów pieszych i wypraw w ramach inicjatywy „TupTanie”. – „TupTanie” to taka nazwa o podwójnym znaczeniu, bo oprócz tego, że sobie chodzimy po różnych terenach, to chcemy pokazać innym, że można podróżować za naprawdę niewielkie pieniądze. Ta formuła dobrze się sprawdza, mam już stałe ekipy, które regularnie pojawiają się na tuptaniowych imprezach – wyjaśnia.

Z kolei Justyna Horków to graficzka i ilustratorka. Motywem przewodnim jej prac są owady. Na projekt „Chrząszcze Lüllwitza” uzyskała stypendium artystyczne w 2024 roku. – To pokłosie moich dziecięcych fascynacji i czasu spędzonego z dziadkami w leśniczówce. Natura była dla mnie inspiracją od zawsze. Odkryłam, że owady świetnie się rysuje, ponieważ są pełne niesamowitych barw, struktur, faktur. Poza tym ten świat często jako ludzi nas zupełnie nie interesuje, a przecież owady są nieodłącznym ele-



#rowerynaForum

Ale jazda!

Latem 2025
zapraszamy na
darmowe wycieczki
z przewodnikiem po
Koszalinie i okolicach.

Zaplanuj niedzielne wyprawy nadmorskimi szlakami

-  I Wycieczka – **Zakochaj się w Jamnie** – 06.07
-  II Wycieczka – **Bursztynowa Trasa** – 13.07
-  III Wycieczka – **Trakt Rybogryfa** – 20.07
-  IV Wycieczka – **Poznaj Parnowo** – 27.07
-  V Wycieczka – **Trasa dla fanów przyrody** – 3.08
-  VI Wycieczka – **Zakochaj się w Koszalinie** – 10.08
-  VII Wycieczka – **Alternatywna droga do Mielna** – 24.08
-  VIII Wycieczka – **Kurs na latarnię morską** – 31.08

ZAPISY NA: rowerynaforum.pl



Niespodzianka:

na kręjące z nami osoby
po wycieczce czeka poczęstunek :)



FORUM
KOSZALIN

mentem naszego ekosystemu. Bez zapylaczy, takich jak pszczoły czy trzmiele, nie mielibyśmy żadnych plonów. Z kolei chrząszcze przetwarzają chociażby leśną materię organiczną – opowiada Justyna. I właśnie te niewielkie stworzenia stały się bohaterami niezwykłego wydarzenia, nazwanego „Dniem Robala”.

Podział prac i rekonesans

Choć pomysł na wspólną imprezę chodził im długo po głowie, trudno było zgrać napięte grafiki. – W końcu postanowiłyśmy się spotkać i przedyskutować koncepcję naszego wydarzenia. Zaprosiłam Agatę i Justynę na swoje dobrzycówkowe włości, bo właśnie tutaj miał się odbyć „Dzień Robala” – nadmienia Agnieszka Szelaąg. Justyna wspomina, że przestrzeń, jaką zobaczyła, zrobiła na niej ogromne wrażenie.

– Od razu poczułam, że to wymarzone miejsce dla naszej inicjatywy i moich owadzych ilustracji. Piękny ogród zachwycał ogromną ilością kwiatów, a tuż za żywopłotem rozpościerał się widok na pola i łąki. Wokół śpiewały kosi, w oddali było słychać dziecięta – tak opisuje swoje wrażenia. – Koncepcyjnie założyłyśmy, że impreza będzie rodzinna i powinna się składać ze spaceru przyrodniczego tropem robala, owadzych warsztatów oraz wspólnej integracji uczestników podczas ogniska. Podzieliłyśmy się zadaniami, które naturalnie zgrywały się z naszymi umiejętnościami. Ja zajęłam się sprawami organizacyjnymi oraz wyznaczeniem trasy naszej wycieczki. Wspólnie z Agnieszką wybrałyśmy się na rekonesans, aby odkryć w pełni owadzi potencjał miejsca. Wyznaczona trasa prowadziła przez łąki, lasy i pola – tłumaczy Agata. O oprawę plastyczną wydarzenia zadbała Justyna, która przygotowała plakaty oraz posty do

Wspólnie udało się zidentyfikować między innymi piękną fioletową oleicę krówkę, biegacza złocistego, chrabąszcza majowego, naliściaka, załęszczycę drobną czy ważkę płaskobrzuchą.

mediów społecznościowych. Specjalnie na to wydarzenie przygotowała ilustrację, której oczywiście motywem przewodnim był ulubiony owad Agaty, czyli kruszczyca złotawka. Agnieszka przygotowała swój teren tak, aby jak najlepiej ugościć uczestników wydarzenia, miejsce na ognisko, owadzią czytelną pod chmurką oraz strefę warsztatową. Justyna przywiozła swoje ilustracje, które ozdobiły przestrzeń agroturystyki.

Dzień z mikrokosmosem

Godzinę „R”, czyli datę robalowego święta, inicjatorki wyznały na sobotnie majowe przedpołudnie. Jak przyznają, odzew osób zainteresowanych ich inicjatywą bardzo pozytywnie je zaskoczył. Informację o wydarzeniu opublikowały w piątek, a już

w niedzielę musiały zamknąć zapisy. W sumie do udziału w wydarzeniu zgłosiło się prawie 50 osób, między innymi z Koszalina, z Kołobrzegu czy z Mielna. – W sobotni rano byliśmy gotowe na przyjęcie naszych imprezowiczów. Organizacyjnie poszło nam świetnie, a w przygotowaniach pomagało nam wiele osób. Jediną niewiadomą była pogoda, ale liczyłyśmy na przychylne wiatry

– wspomina Agnieszka. I faktycznie aura okazała się tego dnia zmienna, ale łaskawa dla naszych bohaterek. Tuż przed początkiem owadziego święta zaczęło padać, więc uczestnicy schronili się w wiacie. Deszczowe chwile stały się doskonałą okazją do zapoznania się z uczestnikami wydarzenia. Kiedy zza chmur wyszło słońce, wszyscy wyruszyli w podróż tropem robala. Dzieci, podekscytowane i uzbrojone w lupki oraz pomoce dydaktyczne, poszukiwały owadów w różnych miejscach: pod kamieniami, na źdźbłach traw, w ściółce leśnej czy na... kupie gnoju. – Naszym





oczom ukazało się wielkie bogactwo gatunkowe. Na drodze naszego spaceru pojawiły się owady, pajęczaki, skorupiaki oraz inni przedstawiciele leśnego świata. Drogę przebiegł nam zając, nad głowami przeleciał bocian, słyszeliśmy mnóstwo śpiewającego ptactwa. Przechodziliśmy także obok hodowli danieli. Ich widok zapierał dech w piersiach – opowiada Agata. – Byłyśmy bardzo zaskoczone tym, jak dobrze przygotowani okazali się amatorzy leśnych wypraw. Dzieciaki miały specjalne pudełka czy słoiczki na owady. Wkładały do nich swoje owadzie znaleziska, wspólnie oglądały, a potem wypuszczały na wolność – dodaje Justyna. Dorośli również z zaciekawieniem rozglądali się, przyglądali skarpom, liściom i trawie w poszukiwaniu owadów. Uczestnikom wspólnie udało się zidentyfikować między innymi piękną fioletową oleicę krówkę, biegacza złocistego, chrabąszcza majowego, naliściaka, załuszczycę drobną czy ważkę płaskobrzuchą. Na swojej drodze napotkali także trzmieľa ziemnego, kornutki, wiję, czy przedstawicieli ślimaków.

Kreatywnie o owadach

Po tak owocnym spacerze uczestnicy mieli chwilę na odzyskanie sił i posiłek. Mogli upiec kiełbaski przy rozpalonym ognisku. Dodatkową atrakcją były ziemniaki z parownika oraz gzik i ziołowe maselko. Kiedy wszyscy zaspokoiili głód, nadszedł czas na warsztaty dedykowane owadom. Podczas nich powstało wiele pięknych, ciekawych prac inspirowanych „robalowym” spacerem. Każda z organizatorek przygotowała swoją propozycję w duchu eko. – Fajne ciasto to moja autorska masa plastyczna. Jej głównym składnikiem jest mąka z naszych lokalnych stożawskich młynów. Masa jest kolorowa dzięki bezpiecznym barwnikom roślinnym. Fajne ciasto to główny element zajęć plastycznych, jakie prowadzę w Dobrzycówce. Poprawia zdolności manualne, stymuluje zmysły, rozwija wyobraźnię, wy-

wołuje pozytywne emocje, buduje relacje – wyjaśnia Agnieszka Szeląg. Justyna Horków poprowadziła warsztaty recyklingowe z tworzenia eko-owadów. Do przygotowanych elementów wykorzystwała stare kalendarze, resztki tapet, opakowania po chusteczkach higienicznych. Uczestnicy mogli z nich stworzyć swojego wymarzonego owada. Agata Masztalerz zadbała o owady zapylające. Razem z mężem poprowadziła warsztaty tworzenia domków dla owadów. Proste konstrukcje z zasuszonego rdestu i konopnego sznurka udekorują balkony i ogrody, a zimową porą będą mogły posłużyć jako karmniki dla sikorek.

Terapia naturą

– W międzyczasie dzieci mogły szaleć w trawiastym labiryncie, skakać na trampolinie, korzystać z huśtawek czy odpocząć na poduchach wypełnionych gryką i poczytać ciekawostki o owadach. Z kolei dorośli relaksowali się i rozmawiali na różne tematy. Z chęcią wzięli też udział w warsztatach – opowiada Justyna. Jak podkreślają nasze bohaterki, imprezy jak „Dzień Robala” skierowane są właśnie nie tylko do dzieci, ale również ich opiekunów. – Piesze wycieczki połączone z warsztatami pozwalają odpocząć i docenić otaczający nas świat. A dla rodziców opiekujących się dziećmi, zwłaszcza z niepełnosprawnościami, to doskonały moment na to, aby choć na chwilę zapomnieć o codziennych problemach – podsumowuje Agnieszka. – Piesze wycieczki i łazikowanie są świetnym uzupełnieniem luki edukacyjnej. W szkołach zazwyczaj mało wychodzi się na zewnątrz, więc dzieci nie doświadczają tego, o czym się je uczy. Na przykład opowiadamy o dokarmianiu ptaków zimą, ale nie pokazujemy dzieciom jak te ptaki wyglądają – dodaje Agata. Wspólny czas minął szybko i późnym popołudniem nasze bohaterki pożegnały uczestników wydarzenia. Zmęczone, zadowolone i czujące lekki niedosyt, w myślach już przygotowują kolejną edycję „Dnia Robala”.

Muzyka, która porusza



Sandra Tracz to artystka, której twórczość wymyka się prostym definicjom. Choć jej główną dziedziną jest kompozycja muzyczna, równie silnie obecny w jej życiu jest taniec – szczególnie house. Jest instruktorką tego gatunku. Jej artystyczna droga nie zawsze była oczywista, bo rozpoczęła swoją edukację od nauki gry na fortepianie w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych im. Grażyny Bacewicz w Koszalinie. Jednak to nie w tym kierunku wybrała dalszą edukację. Za Sandrą bardzo ważne wydarzenie – koncert w Filharmonii Koszalińskiej, który zatytułowała: „hiSTorJA koncert kompozytorski, jakiego nie było”. A było to zwieńczenie jej 18-letniej muzycznej drogi edukacyjnej, obrona pracy magisterskiej na kierunku kompozycja w gdańskiej Akademii Muzycznej. Wydarzenie łączyło tradycję ze współczesnością.

Tekst: Magdalena Wojtaszek
Zdjęcia: Magda Pater

Trudne początki

Droga Sandry do muzyki nie była oczywista. Z inicjatywy rodziców rozpoczęła naukę w Zespole Państwowych Szkół Muzycznych w klasie fortepianu. Ten instrument nie był jej naturalnym wyborem, a początki wspomina jako trudne i pełne zniechęcenia. – Ten fortepian mi nie za bardzo leżał. Wolałam tańczyć albo po prostu być na dworze, niż ćwiczyć granie na

instrumencie. Wymagało to dużego skupienia i było dla mnie dosyć monotonne – tłumaczyła.

Z czasem jednak zaczęła dostrzegać w muzyce coś więcej. – Dopiero w gimnazjum, stwierdziłam, że skoro gram już sześć lat, to chyba coś tam potrafię. Pomyślałam, że może jednak polubię się z tymi instrumentami. Przełomem okazały się zajęcia z rytmiki, gdy mogłam połączyć muzykę z ruchem – opowiadała.

Zamiast jazzu – kompozycja

Po maturze Sandra wiedziała już, że nie chce kontynuować rytmiki na studiach. – Startowałam na wydział jazzowy w Gdańsku i się nie dostałam, więc miałam rok przerwy. Jednak nie chciałam tego czasu zmarnować – podkreślała.

Zacząła studiować logistykę w Gdyni, ale szybko zatęskniła za muzyką. – Jak robi się coś przez 12 lat, to to już gdzieś w człowieku zostaje. Za drugim podejściem dostałam się na Akademię Muzyczną, choć nie na wymarzony jazz, lecz na kompozycję. To było z jednej strony coś nowego, chociaż gdzieś te próby kompozytorskie bywały wcześniej – dodała.

Już w liceum tworzyła wariacje i miniatury instrumentalne, ale dopiero na studiach zrozumiała, czym naprawdę jest zawód kompozytora. – To nie jest czekanie na wenę, tylko to jest po prostu żmudna praca. Kompozytor to rzemieślnik – zaznaczała.

Praca pod okiem mentora była kluczowa dla jej rozwoju. Współpracowała z profesorem Krzysztofem Olczakiem. – Przez pięć lat rozwijałam się pod jego okiem. Była to owocna współpraca, bo bardzo przeciągał mnie na stronę muzyki awangardowej, gdzie mi to wcześniej w ogóle nie leżało. Nie lubiłam tej muzyki, nie rozumiałam jej – tłumaczyła.

Dzięki studiom i analizie technik kompozytorskich XX wieku jej podejście się zmieniło. – To otworzyło mi mocno głowę na inne brzmienia i na inną stylistykę – podkreślała.

Proces twórczy Sandry jest bardzo świadomy i uporządkowany. Rzadko wychodzi od improwizacji. Pomocne jest jej wyobrażenie sobie osoby grającej, klimatu i przede wszystkim tego, co chce przekazać. Podkreśla, że najważniejszy jest koncept.

Koncert dyplomowy – trzy muzyczne opowieści

16 kwietnia 2025 roku to data, którą Sandra zapamięta do końca życia. Wtedy odbył się jej koncert dyplomowy, na którym zaprezentowała trzy autorskie utwory. Każdy z nich miał inny charakter i był inspirowany zupełnie odmiennymi doświadczeniami. Pierwszy utwór, „Muzyka XXI”, powstał na orkiestrę smyczkową. – 21 to bardzo ważny dla mnie symbol. Utwór powstał w 2021 roku. Miałam 21 lat, urodziłam się dwudziestego pierwszego, więc chciałam, żeby ta liczba była wspólnym mianownikiem. Chciałam się zmierzyć z tą bardzo różną opinią i stylistyką profesora, czyli wspomnianą wcześniej muzyką awangardową. Było to coś takiego, czego bym nie napisała sama z siebie. Pracowałam nad tym utworem cały jeden semestr. Okazało się, że bardzo dobrze odnajduję się w tym procesie. Odnalazłam sens, który uznałam za dobry, estetyczny w muzyce. Wyszło z tego coś ciekawego. Profesor zaaprobował tę pracę. Utwór cieszył się dużą popularnością, był wykonany za granicą i szykuje się jego kolejne wykonanie za oceanem – opowiada.

Drugi utwór to „The 4 Season” na orkiestrę kameralną. – Chciałam się podjąć tematu, który jest nam wszystkim znany od XVIII w., od Vivaldiego. To wpisuje się bardzo mocno w muzykę programową, czyli taką, która oddaje nasze skojarzenia – tłumaczy.

Sandra zadbała, by każda część była rozpoznawalna. – Moim zadaniem było tak napisać nuty, żeby słuchacz mógł rozpo-

znać każdą porę roku, bez wcześniejszej znajomości tytułu. Praca nad całym cyklem zaczęła się od jesieni, z którą miałam najwięcej muzycznych skojarzeń – delikatny jazz (saksofon, fortepian) w przyjemnej kawiarence. Jak pierwszy raz usłyszała to mój profesor, powiedział, że robimy muzykę poważną, a nie rozrywkową. Teraz w obecnej formie w ogóle nie ma takich skojarzeń. Poszerzyłam instrumentarium. Każda z pór roku była ciekawym wyzwaniem – dodaje. Koncert wzbogaciła współpraca z malarką Martyną Stankiewicz, która wykonywała obraz na żywo. – To było tak multimodalne doświadczenie, że chyba to najbardziej ludziom się podobało – wspominała. Ostatni utwór „Threds of Bach” to koncert poczwórny na klarnet, saksofon, marimbę, skrzypce oraz orkiestrę symfoniczną. Był to hołd dla mistrza, muzyka inspirowana Janem Sebastianem Bachem. – Cały utwór opierał się na dźwiękach utworzonych z liter jego nazwiska, BACH. On sam w sobie jest dosyć dysonujący, więc wiedziałam, że to nie będzie sielankowy utwór. Kompozycja była wymagająca i dla wykonawców, i dla publiczności. Było dużo współbrzmień takich dla ucha nieprzyjemnych, które mogły wywoływać niepokój. Mój partner mówił, że jak słuchał tego w nocy, to miał wrażenie, że zaraz coś wyskoczy zza drzewa – opowiada z uśmiechem na twarzy. Utwór ma 20 minut i podzielony jest na trzy części.

Emocje na scenie

Sandra nie ukrywa, że koncert był dla niej ogromnym przeżyciem. – Czułam stres, ale też ogromną ekscytację. Na początku siedziałam i czekałam, co się zadzieje, tym bardziej że pierwszy utwór był najbardziej hardcorowy. Mimo tremy cenię sobie







kontakt z publicznością i różnorodny feedback. Od osób starszych słyszałam, że to był ciężki utwór, a młodzi pisali, że bardzo w nich rezonował – podkreśla.

Podczas koncertów starała się zaangażować odbiorców. – Poprosiłam, żeby ludzie podczas słuchania wrócili wspomnieniami do momentów z życia związanych z porami roku. Ten obraz malowany na żywo prowadził słuchacza za oko i za ucho – mówi.

Podczas koncertu nie zabrakło również niespodzianek, oprócz muzyki publiczność mogła zobaczyć także taniec i przygotowany specjalnie na tę okazję film.

Kompozytorka – rzemieślnik i wizjoner

Sandra podkreśla, jak ważna jest dla niej rola kompozytora jako rzemieślnika. – Kompozytor to nie tylko artysta czekający na wenę, ale ktoś, kto żmudnie pracuje, analizuje, poprawia. To proces, który wymaga cierpliwości i wytrwałości – dodaje.

Wyznaje, że zależy jej na tym, by zaskarbić sobie uważność słuchacza, żeby zatrzymał się i pomyślał, o co chodzi. Nie ukrywa też, że czasem potrzebuje odpoczynku od twórczości.

– Po skończeniu tego koncertu, musiałam odpocząć od twórczości. Teraz dopiero zaczynam chcieć coś napisać znowu.

Praca w szkole

Sandra nie ogranicza się do własnej twórczości. Pracuje jako nauczycielka w szkole muzycznej, gdzie prowadzi zajęcia m.in. z kształcenia słuchu w klasach 4–6 szkoły podstawowej. Jest wymagająca, ale też stara się być inspiracją dla tych młodych ludzi. Jej podejście doceniają uczniowie. – Większość moich uczniów przyszła na mój koncert dyplomowy. Potem na lekcjach mówili, że byłam dla nich inspiracją, bo przełamuję stereotyp nauczyciela – tańczę, śpiewam, gram i jestem na scenie – opowiada.

Sandra marzy, by być dla swoich uczniów kimś więcej niż tylko nauczycielem. – Chciałabym być Nadią Boulanger naszych czasów, czyli wyciągać z każdego to, co najlepsze. To jest to coś, co mi przyświeca.

Sandra dostrzega potrzebę zmian w systemie edukacji muzycznej. – Chcę wyjść z inicjatywą zmiany systemu, żeby sprzyjał uczniowi, jego naturalnym predyspozycjom do kreatywności,

a nie tylko siedzeniu w ławce i przepisywaniu. Kładę większy nacisk na wydobywanie z uczniów indywidualności, chęci do muzykowania – podkreśla.

Taniec – druga miłość

Choć muzyka stała się jej główną ścieżką zawodową, Sandra od zawsze czuła silny związek z tańcem. – Zawsze bardziej myślałam, że to taniec będzie tym czymś, chociaż ten rynek jest chyba jeszcze trudniejszy. Mało znam tancerzy, którzy żyją tylko z tego.

Dziś łączy obie pasje, prowadząc zajęcia jako instruktorka tańca. – House to taniec wolności. To styl, który daje ogromną swobodę ruchu i pozwala na ekspresję. Jest on dla mnie nie tylko formą aktywności fizycznej, ale też sposobem na wyładowanie emocji, odreagowanie stresu i inspirację do tworzenia muzyki.

Rytm, energia, kontakt z ciałem – to wszystko przekłada się na jej kompozytorską wrażliwość. Prowadząc zajęcia taneczne, Sandra dzieli się z uczestnikami nie tylko techniką, ale i swoim podejściem do sztuki. – Uczę, że taniec – podobnie jak muzyka – jest przestrzenią do poszukiwania siebie, eksperymentowania i przełamywania barier.

Sandra nie ukrywa, że łączenie kilku pasji i zawodów to wyzwanie. – Znam kompozytorów, którzy tylko temu się poświęcają, ale to są niezliczone godziny pracy. Ja sama mam tzw. „plan B”, bo pracuję w szkole, ale nie chciałabym się tylko na tym zamykać. Chociaż w pracy nauczyciela widzę ogromną wartość. Chcę, żeby uczniowie byli lepszymi muzykami, ale też lepszymi ludźmi – podkreśla.

Sandra Tracz to artystka, która nie boi się nowych wyzwań. Marzy o współpracy z muzykami i wokalistami, o projektach łączących muzykę z innymi dziedzinami sztuki. Podkreśla, że w jej twórczości najważniejszy jest przekaz. Chce, żeby jej muzyka była czymś więcej, niż tylko tłem, żeby zatrzymywała, poruszała, skłaniała do przemyśleń. Sandra to przykład artystki, która nie boi się iść własną drogą, łączy pozornie odległe światy i inspirować innych do twórczego działania. Jej historia pokazuje, że pasja, wytrwałość i otwartość na nowe doświadczenia mogą prowadzić do niezwykłych miejsc – zarówno na scenie, jak i poza nią. Jak sama mówi: „Chciałabym, żeby moja muzyka i taniec były przestrzenią do odkrywania siebie – dla mnie i dla innych”.

Z Koszalina do światowej czołówki

Szachownica to jej żywioł. Gdy miała siedem lat, odkryła świat figur i pionów, który szybko stał się jej drugim domem. Dziś Klaudia Kulon to jedna z najlepszych szachistek w Polsce, dwukrotna mistrzyni świata juniorek, medalistka olimpiady szachowej i zawodniczka z czołówki światowego rankingu kobiet. Jej styl gry? Odważny, pełen ognia i kombinacji. Jej droga? Nasycona wyjazdami, walką z presją i ciągłym rozwojem – również mentalnym.

Rozmawiała Monika Kwaśniewska
Fot. archiwum prywatne

Co skłoniło 7-letnią Klaudię, aby zagłębić się w szachowy świat?

– Kiedy miałam siedem lat, mój tata amatorsko grywał w szachy. Zaczęliśmy od warcabów, ale wkrótce pokazał mi szachy i od razu mnie one zafascynowały. Zafrapowało mnie, że jest w nich o wiele więcej możliwości niż w warcabach – różne figury, różne ruchy – to wszystko mnie bardzo zaciekało. Na

szczęście w mojej szkole podstawowej, SP nr 6 w Koszalinie, działało kółko szachowe prowadzone przez pana Andrzeja Małyszke, do którego zapisała mnie mama. Tak zaczęła się moja prawdziwa przygoda z szachami. Niedługo później – myślę, że maksymalnie po roku – trafiłam do klubu szachowego Hetman Koszalin. To pan Andrzej uznał, że warto zapisać mnie do klubu, żebym mogła się dalej rozwijać, bo dostrzegł u mnie talent.

Kiedy po raz pierwszy uwierzyłaś, że możesz być zawodniczką światowej klasy?

– Mój pierwszy większy sukces na arenie międzynarodowej to zdobycie Mistrzostwa Świata Dziewcząt do lat 12. W 2004 roku, jako dwunastolatka, sięgnęłam po złoty medal. Wcześniej odnosiłam już sukcesy w kraju – mając osiem lat zdobyłam tytuł Mistrzyni Polski Dziewcząt do lat dziewięciu w szachach błyskawicznych – ale to właśnie mistrzostwa świata były tym przełomowym momentem.

Dwa złote medale na MŚ juniorek – co najbardziej utkwiło ci w pamięci z tamtych zwycięstw?

– Miałam wtedy 12 lat i jechałam na turniej zupełnie bez planów na zwycięstwo. To było marzenie – choć tak nawet nie przypuszczałam, że może się spełnić tak szybko. Pamiętam,





że wygrałam turniej już na dwie rundy przed końcem, co jest ogromnym osiągnięciem, nawet dziś. Po dziewięciu rundach miałam 8,5 punktu z dziewięciu możliwych – i mogłam sobie pozwolić na porażki w dwóch ostatnich partiach. Najbardziej zapadł mi w pamięć moment, kiedy rano przyszedł do mnie trener i powiedział, że już zostałam mistrzynią świata. Wiedziałam, że prowadzę w turnieju, ale kiedy usłyszałam te słowa, dosłownie mnie zamurowało. Przez chwilę nie mogłam się nawet ruszyć. To były też inne czasy – telefony komórkowe nie były jeszcze tak powszechne. Pamiętam, że siedziałam w hotelu i odbierałam mnóstwo telefonów z gratulacjami. Dzwonili ludzie z całego szachowego świata. To było coś niesamowitego – ten moment, kiedy odbiera się telefon i słyszy się gratulacje... Bez wątpienia jedno z najpiękniejszych wspomnień w mojej karierze.

Jak radziłaś sobie z presją, gdy przyszło bronić tytułów i występować przeciw utalentowanym rówieśnikom?

– Wtedy, jako dziewczynka, odbierałam to wszystko inaczej. Dziś, jako dorosła kobieta, widzę, że presja, stres, nerwy czy radzenie sobie z porażką – to wciąż temat, nad którym nieustannie pracuję. To proces. Od trzech lat współpracuję z trenerką mentalną, Hanią Rychlik. Pracujemy nad tym, by lepiej radzić sobie z presją – bo nie oszukujemy się, ona towarzyszy każdemu sportowcowi. Niezależnie od tego, czy wynika z zewnętrznych oczekiwań, czy z tych, które sami sobie narzucamy – presja jest i trzeba się z nią mierzyć. Trudno mi dziś jednoznacznie powiedzieć, jak sobie z nią radziłam wcześniej. Myślę, że do tej pory pomaga mi jedno: staram się skupić na grze, na jak najlepszym rozegraniu każdej partii. Nie jest to łatwe, ale próbuję nie my-

śleć o wyniku, tylko cieszyć się grą. Kocham szachy i naprawdę sprawiają mi ogromną radość. Podchodzę do każdej partii indywidualnie – nie myślę o całym turnieju ani o presji związanej z wynikiem. To podejście pomaga mi zachować spokój i czerpać satysfakcję z tego, co robię.

Co dało ci wejście na poziom międzynarodowy?

– Pierwszy raz wyjechałam na Mistrzostwa Świata Juniorek już jako dziesięciolatka. Choć wtedy uplasowałam się mniej więcej w połowie stawki, sam fakt wyjazdu za granicę był dla mnie ogromnym przeżyciem i radością. Dziś mam na koncie wizyty w ponad 40 krajach – wszystko dzięki szachom. Uwielbiam podróżować, poznawać nowe kultury, ludzi, zwyczaje. W trakcie tych wyjazdów nawiązałam wiele znajomości, z niektórymi osobami utrzymuję kontakt do dziś – znamy się jeszcze z czasów, gdy byłyśmy małymi dziewczynkami. Międzynarodowe turnieje dały mi nie tylko doświadczenie sportowe, ale też mnóstwo pięknych wspomnień i przyjaźni na całe życie.

W 2016 na olimpiadzie zdobyłaś łącznie dwa medale – jak wyglądała atmosfera i wspomnienia z tej imprezy?

– Jednym z największych sukcesów w mojej karierze szachowej jest srebrny medal zdobyty na olimpiadzie szachowej razem z reprezentacją Polski. Dodatkowo wywalczyłam wtedy brązowy medal indywidualny na czwartej szachownicy. Nie mogę uwierzyć, że to już minęło dziewięć lat – mam wrażenie, jakby to było zaledwie rok temu. Do dziś pamiętam niemal każdą partię, emocje, atmosferę... Byłyśmy wtedy niezwykle zgraną drużyną. W składzie: Monika Soćko, Karina (wtedy Szczepkowska, dziś Cy-

fka), Jola Zawadzka, Mariola Woźniak i ja – Klaudia Kulon. To był wyjątkowy zespół. Z Mariolą, która była od nas młodsza, kontakt trochę się urwał, ale z Moniką, Kariną i Jolą wciąż się przyjaźnimy i mamy stały kontakt. Myślę, że ta niesamowita drużynowa chemia miała ogromny wpływ na nasz sukces. Zagrałam wtedy wszystkie partie – jako jedyna w drużynie – i zdobyłam 9 punktów w 11 rundach. Na czwartej szachownicy byłam w naprawdę świetnej formie. Przegrałam tylko jedną partię – z Chiną, a Chinki zawsze należały do ścisłej światowej czołówki. Miałam też dwa remisy, w tym jeden bardzo ważny w meczu z Rosją, który zremisowałyśmy jako drużyna. Wiem, że miałam duży wkład w ten drużynowy sukces – ciągnęłam wynik, grało mi się fantastycznie.

Jak zmienia się twój styl gry w pojedynczych pojedynkach w porównaniu z grami drużynowymi?

– Jestem zawodniczką o bardzo agresywnym stylu gry – lubię atakować, iść do przodu, szukać dynamicznych rozwiązań, często stawiając wszystko na jedną kartę. Znajomi żartują, że „ogień w naszym ognisku” to właśnie ja – i coś w tym jest. W grze drużynowej mój styl zasadniczo się nie zmienia – nadal gram bojowo, z nastawieniem na zwycięstwo. Jedyna różnica polega na podejściu strategicznym: jeśli widzę, że drużyna już zapewniła sobie zwycięstwo w meczu, nie forsuję wyniku za wszelką cenę. Z kolei jeśli rezultat jest niepewny, na przykład przy stanie 2:1 dla przeciwników i to moja partia może zdecydować o remisie, wtedy oczywiście walczę do końca o cały punkt.

W szachach drużynowych najważniejszy jest wynik całego zespołu, dlatego zawsze staram się zdobyć dokładnie taki punkt, jaki w danym momencie jest potrzebny. Mimo to pozostaję wierna swojemu stylowi – szalonym, pełnym kombinacji, poświęceń i ataków na króla.

Co było kluczem do zwycięstwa w Krakowie w maju 2025? Jak zaplanowałaś swoją strategię na rundach?

– Moja strategia była nieco inna niż zwykle. To był turniej kołowy, w którym każda zawodniczka gra z każdą, więc kluczowe było unikanie porażek. Choć z natury jestem zawodniczką ofensywną i lubię grać agresywnie, tym razem – wspólnie z moim trenerem – postawiłam na bardziej solidne podejście. Naszym celem było, by nie przegrywać partii. Remis uznawaliśmy za dobry wynik, a jeśli pojawiła się okazja, by zagrać na cały punkt – oczywiście ją wykorzystywałam. Zawsze wiedziałam, że w systemie kołowym remisy mają ogromne znaczenie, ale wcześniej często przeważał mój charakter – jeśli była szansa na zwycięstwo, grałam ostro, nawet ryzykując. W tym roku postawiłam na większy spokój i konsekwencję: jeśli partia szła na remis, to akceptowałam ten wynik. Prawdę mówiąc, byłam w świetnej formie – znakomicie liczyłam warianty, byłam pewna swoich decyzji. Dzięki temu i tak wygrałam wiele partii. Wystarczyło spojrzeć na debiuty – grałam spokojnie, nie forsowałam ataku od pierwszych ruchów. Na szczęście przeciwniczki popełniały błędy, które skutecznie wykorzystywałam. To właśnie ta kombinacja chłodnej głowy i dobrej formy przyniosła mi tytuł.

Jak oceniasz tendencje kobiet w szachach – widzisz zmiany, rozwój czy bariery, które nadal trzeba pokonać?

– Temat kobiet w szachach wciąż jest trudny, bo wśród 100 najlepszych zawodników świata znajduje się zaledwie jedna kobieta. Różnice rankingowe są duże – mężczyźni osiągają nawet 2800 punktów, podczas gdy u kobiet już 2500 oznacza światową czołówkę. Mimo to widzę pozytywne zmiany. Coraz więcej jest programów wspierających kobiece szachy, rośnie liczba turniejów z równymi nagrodami. Dobrym przykładem są mistrzostwa Polski w szachach klasycznych, gdzie nagrody finansowe dla kobiet i mężczyzn są identyczne. Podejrzewam, że jesteśmy jednym z nie-



licznych krajów na świecie, które wprowadziły taki model. Również w turniejach open coraz częściej pojawiają się nagrody dla kobiet na wyższym poziomie niż kiedyś. To ważny krok, bo nierówności finansowe sprawiają, że wiele utalentowanych dziewczyn rezygnuje z kariery. Z mojego rocznika, gdy miałyśmy 18–19 lat i trzeba było podjąć decyzję – studia czy szachy – prawie wszystkie koleżanki, nawet te z medalami mistrzostw Polski, wybrały inną drogę. Zostałam praktycznie tylko ja. Większość nie widziała szans na utrzymanie się z gry. Mam nadzieję, że to się będzie zmieniać – i że coraz więcej dziewczynek będzie miało możliwość, motywację i realne warunki, by profesjonalnie grać w szachy.

Jakie cele przed sobą stawiasz na kolejne lata – czy myślisz o tytule piątej kategorii, poprowadzeniu drużyn, treningach młodzieży?

– Moim marzeniem jest zdobycie rankingu 2500, który jest niezbędny do uzyskania tytułu arcymistrza (GM). Oczywiście oprócz tego trzeba jeszcze zdobyć trzy normy turniejowe, ale to właśnie ranking 2500 jest dla mnie kluczowym celem. Chciałabym również wejść do ścisłej czołówki światowej kobiet. Obecnie zajmuję 36. miejsce na liście ELO, niedawno przebiłam się do pierwszej „50”, co już było moim małym marzeniem. Teraz celuję w top 20, a może nawet 15 – tak, by móc utrzymywać się wyłącznie z gry, bez konieczności trenowania innych. Przez wiele lat prowadziłam zajęcia i drużyny, ale obecnie to dla mnie plan B lub C. Teraz całkowicie skupiam się na własnym rozwoju – jestem w szczytowej formie i wierzę, że mogę jeszcze wiele osiągnąć. Jeśli nie uda się zrealizować tych celów jako zawodniczka, zawsze mogę wrócić do trenowania. Lubię to robić – zarówno z dziećmi, młodzieżą, jak i dorosłymi. Sprawia mi ogromną satysfakcję przekazywanie wiedzy i obserwowanie postępów moich podopiecznych.

CRIME+
INVESTI
GATION
POLSAT

Mordercze lato

poniedziałek-piątek
20:00

Jazda z kodem i z zestawem

Czy kierowca prowadzący pojazd bez nałożonych okularów może dostać mandat? Zapasowe koło czy zestaw naprawczy przed wyruszeniem na wakacyjną wyprawę? Mamy lato, mamy więc urlopy. Warto wiedzieć, jak przygotować się do wypraw samochodem.

Tekst: Radosław Czerwiński

Zdjęcie: Magda Pater

Jazda z kodem w „prawku”

Osoby z wadą wzroku na etapie badań lekarskich przed otrzymaniem prawa jazdy otrzymują kod, który jest później wpisany do dokumentu uprawniającego do poruszania się w ruchu drogowym. Aby uniknąć kar finansowych należy stosować się do zapisów we wspomnianym dokumencie. Oznaczenia w prawie jazdy występują w sześciu wariantach: 01.01 - okulary korekcyjne, 01.02 - soczewki kontaktowe, 01.03 - okulary ochronne, 01.04 - szkła przyciemniane, 01.05 - przepaska na oko, 01.06 - okulary korekcyjne lub soczewki (do wyboru). Przydzielony kierowcy kod, informujący o jego ograniczeniach, znaleźć można w dolnej części prawa jazdy. Policjant podczas kontroli drogowej, sprawdzając dokument, może zwrócić uwagę na brak korekcji wzroku u kontrolowanego kierowcy. Funkcjonariusz może wówczas potraktować ten fakt jako jazdę bez uprawnień. Reguluje to nawet art. 94 Kodeksu wykroczeń. Przykładowo: kierowca ma obowiązek jazdy w okularach jeśli w jego prawie jazdy widnieje kod 01.01. Zastąpienie ich soczewkami kontaktowymi (mimo podobnej funkcji) może skutkować karą grzywny, nawet w wysokości 1500 zł. Najbardziej uniwersalny jest kod 01.06 pozwalający kierującemu na korzystanie z okularów bądź soczewek w zależności od potrzeb i warunków jazdy. Jeśli od czasu zdania na prawo jazdy pogorszył nam się wzrok lub przeszliśmy laserową korektę to najlepiej ponownie zgłosić się na badania lekarskie.

Najlepiej jedno i drugie

Z doświadczenia wyżej podpisanego. Rok 2024. Powrót z wakacyjnego, rodzinnego wyjazdu. Niedziela. Przejazd drogą krajową. Za oknami las. W pewnym momencie komputer samochodu alarmuje o utracie powietrza w przednim lewym kole. Pobocze wąskie, brak parkingów leśnych. Udało się dojechać do

najbliższej miejscowości i wymienić koło na dojazdowe. Z racji dnia tygodnia niemożliwe było skorzystanie z usług najbliższego warsztatu wulkanizacyjnego. Ostatecznie udało się dojechać do domu, stosując się do ograniczenia prędkości, zapisanego na „dojazdówce”.

Większość kierowców wie, w co ma być zaopatrzony ich samochód przed wyjazdem na wakacje. Trzeba też pamiętać o możliwości wystąpienia takiej sytuacji jak opisana. Jeśli nasz pojazd wyposażony jest w dodatkowe koło to przed wyruszeniem na wyprawę należy sprawdzić, czy jest napompowane i czy posiadamy niezbędne przyrządy do jego wymiany. W nowszych pojazdach nie dodaje się „zapasówek” tylko tzw. zestawy naprawcze. Co lepsze? Oczywiście każda z opcji ma swoje zalety i wady, a specjaliści radzą, aby w miarę możliwości zaopatrzyć auto w jedną i drugą. W razie przebicia opony zapasowe koło pozwala na kontynuowanie jazdy nawet na dużych dystansach i przy stosunkowo dużej prędkości. Niestety, ta opcja zajmuje dużo miejsca w bagażniku i sporo waży. Zestaw naprawczy jest lekki i nie zajmuje dużo miejsca. Służy jednak do doraźnych



napraw, nie działa przy poważniejszych uszkodzeniach i nie pozwala na jazdę z dużą prędkością. Najlepszym rozwiązaniem jest posiadanie obu: koła zapasowego na poważniejsze awarie i zestawu naprawczego do drobnych przebić. W tym przypadku trzeba się liczyć z koniecznością zagospodarowania większej przestrzeni w bagażniku. Jednak wielce możliwe jest, że kierowca wyposażony w oba zestawy ratunkowe, w przypadku awarii nie będzie musiał korzystać z usług pomocy drogowej.

Szerokiej drogi i udanego urlopu!

13 ULICA Fałszerstwo

POLSKA PREMIERA

PONIEDZIAŁKI O 22:00



TELEWIZJA
KABLOWA KOSZALIN
SPÓŁKA Z O.O.

OGŁĄDAJ NA POZYCJI 9

Złe decyzje na faktach

Człowiek bez pasji jest trochę daltonistą. Żyje i funkcjonuje normalnie, jednak nie widzi wszystkich otaczających go kolorów. Pasja jest olejem napędowym każdego; nadaje życiu większy sens, pomaga i motywuje. Michał Jan Chmielewski pasji miał wiele – muzyka, sporty ekstremalne, gry, origami. Ostatnia z nich, pisanie, została w nim najdłużej i wygląda na to, że na stałe.

Tekst: Marcela Panduszko

Zdjęcia: domowe archiwum pisarza

Mieszka w Sianowie. O sobie mówi niewiele, bo nie lubi. Znacznie łatwiej wyciągnąć z niego to, o czym pisze. – O ludziach. Ich losach, głównie tragicznych, oraz decyzjach, głównie złych, bo o nich pisze mi się zdecydowanie łatwiej. Raz, że złe decyzje prowadzą do akcji, a dwa... sam nie wiem, może doświadczenie – dodaje z uśmiechem.

Nie pisze od zawsze. Pierwsze teksty o muzyce publikował w darmowym magazynie internetowym „Action-Mag”. Spacerował ulicami Sianowa, z discmanem w kieszeni, słuchając muzyki, potem o tym pisał. Pierwsze teksty na papierze opublikował w gazetce sianowskiego ratusza. – W wieku sześciu lat, biegając po osiedlu, napotykałem nastolatka, który zawsze miał przy sobie notatnik i długopis. Mniej więcej wtedy odkryłem, co to takiego dziennikarz. I choć nie wiedziałem wtedy, co chciałbym robić w życiu, to zawsze czułem wobec tego zawodu szacunek i podziw. Przekazywanie informacji, przebywanie w ważnych, historycznych miejscach i dzielenie się tym z ludźmi. To mnie kręciło – opowiada.

Zaczął współpracę z koszańskimi mediami. Publikował głównie w – jeszcze wtedy – dzienniku „Miasto”. Pisał o kulturze, wydarzeniach, wszystkim, o czym miał okazję. Wtedy też zaczął podejmować próby pisania historii. Najpierw opowiadania, potem dłuższe historie. Pierwsza pełnokrwista powieść pt. „Kiepska fatamorgana” powstała w 2008 roku. – To był jeden wielki bałagan. Chciałem stworzyć coś wiekopomnego na miarę „Fight Clubu”, książkę o wszystkim. Wyszło z tego przekombinowane nie wiadomo co. Przeczytało to kilku znajomych, wszyscy jak jeden mąż powiedzieli, że bym tego nigdzie nie publikował. Tak też zrobiłem. Teraz, po latach, wiem, że to była dobra decyzja – śmieje się.

Zaraz potem napisał kolejną powieść, znów kolejną, ale żadna nie została wydana. W międzyczasie wyjechał do Wielkiej Brytanii. Plan był taki, by spędzić tam kilka miesięcy, dorobić. I tak kilka miesięcy zamieniło się w ponad dziesięć lat.

Horyzont zdarzeń

Mieszkając w Wielkiej Brytanii nadal pisał – wyłącznie do szuflady. Próbował nawiązać współpracę z tamtejszymi mediami. Bezskutecznie. Zaczął pracę nad książką wspominkową o latach 90. – Miałem obsesję na tym punkcie. Zbierałem informacje na temat podwórkowych zabaw, o grach video, zwyczajach, ubraniach, muzyce i filmach – o wszystkim, co łączyło się w magiczne, kolorowe lata 90. Miała to być taka encyklope-



dia, powiedzmy „90 kultowych rzeczy lat 90.”. W międzyczasie odkryłem, że podobna książka już istnieje. Nie chciałem iść po czyichś śladach, więc skupiłem większą uwagę na pobocznym projekcie – historyjkach o tym, co robiliśmy w latach 90., jak rozrabialiśmy itd. Zgarnąłem je do jednego pliku, spałem klamrą fabuły i w ten sposób powstał ebook „Zrobiłbym coś złego”. To powiedzenie powtarzał mój przyjaciel z dzieciństwa. Uznałem, że będzie pasować.

Zdecydował się na publikację ebooka za darmo, bez próby wydania go w wydawnictwie. To miał być test. Jeśli spodoba się ludziom, będzie pisał dalej. Chciał sprawdzić, czy od czasu niewydanego debiutu poprawił swój warsztat. Historia spodobała się czytelnikom na tyle, że zdecydował wziąć się za pisanie powieści na poważnie. Niedługo potem napisał swoją najbardziej kontrowersyjną powieść „Złe”. – To historia patologicznej rodziny, jeden dzień z jej życia, podczas którego dochodzi do erupcji nazbieranych przez lata kłamstw, przemocy i alkoholizmu.

Roboczy tytuł „Złe” brzmiał „Horyzont zdarzeń” – i ten właśnie tytuł zajął drugie miejsce w ogólnopolskim konkursie pn. Literacki Debiut Roku organizowany przez wydawnictwo Novae Res.

Czytelnicy byli w szoku. I słusznie, bo Chmielewski nie przebiera tam w środkach, jeśli chodzi o pokazanie mechanizmów patologii. Często padały porównania do filmów reżysera Wojciecha Smarzowskiego („Dom Zły”, „Kler”, „Wołyń”). Chmielewski z uśmiechem mówi, że jeżeli ktoś miałby się zabrać za nakręcenie jego powieści, to właśnie on.

Nie tylko zło

– Skąd czerpię inspiracje? Ze wszystkiego. Zastłyszane zdanie w autobusie, na przejściu dla pieszych. Często jest tak, że interesuję się jakąś historią i zmieniam ją pod swoje upodobania.

nie. Stąd w moich powieściach dużo jest podobieństw do prawdziwych wydarzeń. Na przykład historia 23-letniego Michała ze Śląska. Chłopak leciał na wakacje do Hiszpanii, miał przy sobie sporą ilość gotówki. Po wylocie przestał się odzywać, matka nie mogła się z nim skontaktować. Policji udało się ustalić, że tak naprawdę nigdy nie wyleciał z Polski, a koledzy, którzy mieli go podrzucić na lotnisko, zamordowali dla tych pieniędzy. Tak właśnie zaczyna się „Cicha ciemna noc” – mówi.

Jeśli spytać Chmielewskiego, dlaczego pisze o takich okropnościach, odpowiada wzruszeniem ramion. Kiedyś próbował odpowiadać, udawał, że wie, a tak naprawdę nie wie i nie musi wiedzieć. Inspiracja żyje własnym życiem, nie może jej kontrolować. To ma też odbicie w powieściach, których nie udało mu się dokończyć. A tych było sporo. Siedział nad historią kilka tygodni, docierał do jakiegoś punktu i nic, ściana. – Nie tyle nie wiedziałem, co napisać, co nie wiedziałem jak. Nic nie pasowało. Czasami udawało mi się tę ścianę przebić, ale częściej nie. Trudno. Zostawiałem to i zabierałem się za coś nowego.

Podczas jednego spotkania autorskiego prowadzący zapytał go, skąd w jego powieściach ta fascynacja śmiercią. To pytanie utkwiło w jego głowie. – To że w moich powieściach umierają bohaterowie, nie znaczy, że interesuje mnie śmierć sama w sobie, bo tak nie jest. Mnie interesuje człowiek, jego życie, decyzje, motywacje, które prowadzą do najczarniejszego scenariusza. Czy naprawdę nie można było uniknąć tego morderstwa? Nie było innego wyjścia? Dlaczego to zrobili? Nie mogli inaczej? Moi bohaterowie to normalne osoby, zwykli ludzie, którzy podjęli serię złych decyzji lub znaleźli się w okolicznościach, z których nie mogą się wypłatać. To są sytuacje, w których za nic w świecie nie chciałbym się znaleźć. Dzięki pisaniu mogę to zrobić z bezpiecznej perspektywy. I jeśli mam być szczery, tego typu historii, gdzie dochodzi do niezbyt przyjemnych zdarzeń, mam trochę dość. Chciałbym się skupić na czymś bardziej wyciszonym, spokojniejszym. Dlatego po dziś dzień „Zrobiłbym coś złego” jest moją ulubioną powieścią, jaką napisałem – mówi.

Historia dzieje się w latach 90., w małym miasteczku, gdzie czwórka przyjaciół rozpoczyna wakacje. Nuda plus chęć zabawy równa się kłopoty. Wpadają na dzikie pomysły, wygrzebują się z tarapatów, jakie na siebie ściągnęli, a do tego jeden z chło-



paków odkrywa, że ma w domu pistolet. I jak u Hitchcocka, tak i tutaj pokazana broń musi prędzej czy później wystrzelić.

– Chciałem napisać czułą powieść o dorastaniu, o pierwszych poważnych decyzjach w życiu. O tym, jak koledzy są naszymi braćmi, czasami bardziej niż prawdziwi bracia. O pierwszych decydujących przeżyciach, które odcisną piętno na całe życie. I oczywiście o tym, jak to jest włożyć nóż do kontaktu, bo to właśnie robią chłopcy. Eksperymentują. I często te eksperymenty kończą się, dajmy na to, pożarem lub ucieczką przed konsekwencjami – wyjaśnia autor.

Co dalej?

Chmielewski co do swojej twórczości ma dużo planów. Być może za dużo. – Taki jestem, chciałbym zrobić tysiąc rzeczy naraz, skutkiem czego nie robię nic, bo ciągle myślę, od czego zacząć, za co warto się teraz zabrać. Błędne koło, wiem. Obecnie zbieram materiały do reportażu o pewnym wydarzeniu sprzed lat. Nie chcę zdradzać, co konkretnie mam na myśli, powiem tylko, że jeszcze nikt o tym nie napisał niczego poza artykułami w prasie. A temat jest naprawdę gorący. Aż dziwne, że nikt się za to nie zabrał. Mogę jeszcze zdradzić, że działa się to w latach 90., a chciałbym o nich napisać trochę z innej strony, niż jest to pokazywane w internecie. Gummy Turbo, konsola Pegasus, zbieranie karteczek, dinozaury, zabawy, brak komputerów, internetu i niekończąca się beztroska – to rzeczy widziane oczami dziecka. A prawda jest taka, że w Polsce panował wtedy dziki zachód. Po transformacji wielu ludzi nie mogło się odnaleźć w nowej rzeczywistości, padały zakłady, bezrobocie szykowało w górę. Zamierzam trochę te magiczne lata dziewięćdziesiąte odczarować.

I tym właśnie chciałby się zająć najbardziej – tworzeniem reportażu. Dziennikarstwo zawsze było bliskie jego sercu, przekazywanie informacji, o których jeszcze nikt nie wie. Wyjazd do Wielkiej Brytanii był poniekąd od tego przerwą, dlatego skupił się na tworzeniu fikcji. Ale zawsze była to fikcja oparta na faktach, inspirowana wydarzeniami.

– Ujrzenie swojego nazwiska na okładce książki, tego nie da się opisać. I choć było to przeżycie, które pamiętam doskonale, nie może się równać z widokiem swojego nazwiska pod artykułem w gazecie. To jest coś, co zostanie, za kilkanaście, może kilkadziesiąt lat ktoś będzie szukał materiałów do czegoś i ujrzy to, co napisałem, skorzysta z tego. To daje chęć i siły do działania.



Majestat polskich wierzchołków



Podobno ludzie dzielą się na tych, którzy preferują albo góry, albo morze. Jednak od każdej reguły możemy znaleźć wyjątek. Edward Kmita lubi wędrówki plaż oraz wzniesieniami. Opowiada nam o tym, jak przypadkowo załapał górskiego bakcyła dzięki ogólnopolskiej akcji Korona Gór Polski. Zachęcamy naszych Czytelników do odwiedzenia tych ciekawych i urokliwych pasm górskich naszego kraju.

Tekst i zdjęcia: Justyna Horków

Podjąć wyzwanie

Przyrodnicze eskapady Edwarda zaczęły się jednak zupełnie gdzie indziej, bo nad naszym Bałtykiem. – Jako inżynier lubię projekty udokumentowane i skatalogowane, czyli takie, które można przysłowiowo zważyć i zmierzyć. Mój pierwszy wycieczkowy szlak prowadził tropem latarni morskich. Razem z Ewą, moją partnerką, wyruszyliśmy trasą ze Świnoujścia do Kryni-

cy. W ten sposób udało nam się zdobyć wszystkie 15 latarni – wspomina Edward Kmita. Jak mówi, ta wyprawa sprawiła, że zaczął poszukiwać innych tego typu odkrywczych dróg. – Zupełnie przypadkowo usłyszałem o Koronie Gór Polskich i postanowiłem spróbować swoich sił, tym razem na górskich szlakach. Uważam się za patriotę, interesuję się historią, więc taka ciekawostka przykuła moją uwagę. Na pierwszy wyjazd wyruszyłem razem z córką. Od tego wszystko się zaczęło – dodaje.

Katalog najwyższych wzniesień

Korona Gór Polski to inicjatywa, którą zawdzięczamy dwójce pomysłodawców: geografom Markowi Więckowskiemu i Wojciechowi Lewandowskiemu. Listę najwyższych szczytów wszystkich polskich pasm górskich przedstawili na łamach czasopisma „Poznaj swój kraj” ponad 30 lat temu. W skład spisu wchodzi 28 szczytów, których łączna wysokość opiewa na ponad 30 tys. metrów n.p.m. Najwyższy z nich to Rysy (2499 m n.p.m.) znajdujący się w Tatrach, najniższym jest z kolei Łysica (612 m n.p.m.) w Górach Świętokrzyskich. W ich założeniu katalog miał skłonić do odwiedzania różnych pasm górskich. Przyrodnicy chcieli, aby Korona Gór Polskich była nie tylko wyzwaniem.

niem sportowym, ale również pretekstem do poznania naszego kraju, jego odrębności kulturowej i geograficznej. Oczywiście, jak przy każdej tego typu liście możemy napotkać na kontrowersje. Nie wszystkie szczyty wybrane przez Więckowskiego i Lewandowskiego faktycznie są najwyższe i odpowiadają rzeczywistym, teraźniejszym pomiarom. Mimo wszystko projekt ten cieszy się sporym zainteresowaniem wśród miłośników górskich wycieczek. W 1977 r. powołano nawet Klub Zdobywców Korony Gór Polski. Wśród blisko 200 tysięcy zapisanych do niego osób możemy wyróżnić zdobywców, czyli takie osoby, które wszystkie szczyty już zdobyły.

Radość z wyprawy

Każdy, kto zapisze się do klubu, otrzymuje specjalną książeczkę, w której są wyznaczone miejsca na stemple-pieczętki z każdego górskiego szczytu. Aby zostać zdobywcą i zdobyć takową odznakę, należy zdobyć wszystkie 28 szczytów. Dla niektórych



największą frajdą jest właśnie zdobywanie pieczętek, dla innych sama górską wędrówka. Edward Kmita zdecydowanie należy do tych drugich osób. – Nie chodzi mi o zdobywanie pieczętek ani najszybsze przejście wszystkich szlaków. Choć znam takich, specjalistów, co wdrapali się na wszystkie szczyty w ledwie trzy dni (chodzi o rekordzistów: Artura Piecha i Andrzeja Kowalika, którzy ukończyli zdobywanie w czasie 73 godzin i 23 minut – przypisek redakcji). Dla mnie ważniejsze są emocje, widoki, kontakt z przyrodą i sama przyjemność z przebywania w górach z córką. Można powiedzieć, że to sztafeta pokoleń w której idziemy wspólnie, ale każdy w swoim tempie. Mam ponad 70 lat, więc każda wędrówka to dla mnie motywacja, aby iść dalej przez życie. Córka jest młodsza, lubi kiedy dużo się dzieje, a ja zdecydowanie lubię zwiedzać. Mamy więc dwa wektory szybkości, które mimo różnic dobrze się dopełniają. Na trasie pilnujemy się, czekamy na siebie, wymieniamy doświadczeniami. Córka mnie dopinguje, ja służę jej swoją poradą i optymizmem – opowiada Edward. I dodaje, że wyprawy są sporym wyzwaniem logi-



stycznym i fizycznym. Aby przygotować się do górskich wędrówek codziennie chodzi na długie spacer. Świetnie sprawdza się szybki marsz brzegiem morza, bo piaszczysty teren dodatkowo wzmacnia mięśnie. Uzupełnieniem tych treningów jest pływanie w basenie. Dodatkowym atutem Korony Gór Polski jest to, że nie ma ona określonego czasu trwania ani „ważności” zdobytych pieczętek. Można więc bezterminowo i dowolnie ułożyć sobie wyprawę. – Najczęściej wybieramy jakąś fajną miejscowość, aby wokół niej ułożyć plan górskiego działania. Lubimy takie leniwe, senne miejscowości uzdrowiskowe, przyglądamy się turnusom rehabilitacyjnym, rozmawiamy z lokalsami – wspomina Edward.

Mapy są najważniejsze

Według znawców turystyki podejścia pod szczyty Korony Gór Polski należą do dość łatwych i niezbyt wymagających. Jednak nasz rozmówca podkreśla, że niekoniecznie jest to prawda. – Przeszliśmy trasy całkiem przyjemnie i spokojnie, jak podejście na Łagodne w Górach Bystrzyckich lub szlak na Chełmiec w Górach Wałbrzyskich. Ten drugi był ciekawy ze względu na drogę krzyżową upamiętniającą pracę górników. Jednak nie zawsze bywało łatwo – opowiada. – Pamiętam, jak wchodziliśmy na Waligórę, najwyższy szczyt Gór Kamiennych. Szlak był słabo oznaczony, na mapie podejście nie wyglądało na ciężkie, natomiast trasa była usłana łupkowymi kamieniami i ostro pięła w górę. Mimo tego szliśmy dalej, myśląc o pięknym widoku, jaki zobaczymy. A co zastaliśmy na samym szczycie? Pamiątkowy kamień i polanę szczelnie osłoniętą drzewami, więc tak naprawdę nic ciekawego. Za to zejście dało nam w kość. Szlak przebiegał przez równie wysokie przewyższenia. Byłem załamany. Myślałem już, że nie dam rady. Córka mnie dopingowała. Idąc przodem, mówiła: „Chodź, Edziu, to tak strasznie wygląda tylko z dołu”. Ten szczyt pokazał nam również, że zawsze warto mieć przy sobie papierową mapę, bo mieliśmy problem z sygnałem GPS – dodaje Edward.

Przez ściernisko

Jak się okazuje, czujność na szlaku to podstawa. – Podczas naszej pierwszej wyprawy w Szczawnie Zdroju poszliśmy na tak zwany rekonesans. Obok pijalni wód znajduje się tam przepiękny ogród zdrojowy. Idąc przez niego, wdrapaliśmy się aż na Wzgórze Gedymina. Na jego szczycie weszliśmy na wieżę widokową, z której rozciąga się widok na Wałbrzych oraz szczyty Gór Wałbrzyskich i Kamiennych. Ze wzgórza postanowiliśmy zejść inną trasą, jednak zgubiliśmy szlak. Idąc przez pola, trafiliśmy na ściernisko. Córka była wściekła, bo na tę miastową wyprawę ubrała sukienkę i sandały, więc ostre słomy pokaleczyły jej nogi. Udało nam się dojść do zabudowań, gdzie sympatyczny pan przepuścił nas przez swoje podwórko. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że wie gdzie jest Koszalin i że przyjeżdżał z żoną na wakacje do Mielna. Nerwy ukoiliśmy w pobliskim pensjonacie, gdzie przemiła właścicielka zaszerwowała nam lokalne zimne i piwo i opowiedziała kilka historii o Wałbrzychu – wspomina Edward.

O butach, które nie poniosły

Nie tylko córkę Edwarda pokonało nieprzygotowanie i rzeczy martwe. Również jego samego dopadła tak zwana zemsta obuwia. – Postanowiliśmy zdobyć za jednym zamachem Rudawiec i Kowadło, ponieważ są położone blisko siebie. Był to dość ciepły dzień, z temperaturami około 30 stopni, nawet na tym mocno zalesionym terenie dało się odczuć skutki upału. Na swoje



nieszczęście ubrałem wtedy nowe buty, które niemiłosiernie mnie obtarły. Udało nam się wejść na Rudawiec, ale ze zdobycia Kowadła musieliśmy już zrezygnować. Schodziłem już w samych skarpetach. Córka zauważyła staw, w którym kąpały się inne osoby. Włożenie stóp do zimnego górskiego strumienia to było istne wybawienie dla moich stóp. Poznaliśmy tam turystów z Warszawy, którzy także zdobywali szczyty w ramach Korony Gór Polski – opowiada Edward.

Być częścią wspólnoty

To właściwie kolejny element, który w zdobywaniu Korony Gór Polski jest dla Edwarda istotny i interesujący. Podkreśla, że na szlakach często spotka się osoby, które również biorą udział w tej przyrodniczej zabawie. – Zdobywają pieczętki, opowiadają o swoich doświadczeniach czy historiach. Niektórzy przecho- dzą całą trasę korony po kilka razy, inni wybierają tylko jej fragmenty. Czujemy, że należymy do klubu, który zrzesza naprawdę sporo osób. Ta przynależność jest dla mnie powodem do dumy – wyjaśnia Edward. A co nasz bohater robi się po zejściu ze szlaku? Odpoczywa, zwiedza i napawa się zupełnie innym niż nadmorskim klimatem. – Po górach chodzimy na basen lub do sauny, a wieczorem wychodzimy „na miasto”. Oglądamy uliczki, dyskutujemy. Takie spędzanie czasu bardzo nas zbliżyło, lepiej się z córką rozumiemy. Opowiadamy sobie różne historie – wyjaśnia Edward. I podkreśla, że znowu planują kolejny wyjazd. – Być może tego lata uda na się nam zdobyć kolejne cztery góry. Jeśli nam się powiedzie, to będziemy mieli dokładnie połowę korony. Do tej pory wspięliśmy się na dziesięć szczytów, więc jesteśmy coraz bliżej zakończenia. Mam nadzieję, że uda nam się tego dokonać i będziemy mieli głowy pełne nie tylko pięknych widoków, ale i równie ciekawych anegdot – mówi pełen nadziei.

Egipt – relikwiarz przeszłości do zwiedzania

Pozostawiam dysputom naukowców, czy najstarszą cywilizacją świata jest starożytne Sumeru, czy też jednak Egipt. Ale faktem jest, że Sumerowie relatywnie szybko zniknęli kulturowo z kart historii i z ludzkiej pamięci, a Egipt trwał tysiąclecia. Do tego, aby zobaczyć resztki sumeryjskiej przeszłości, trzeba wybrać się do dzisiejszego Iraku, co nie zawsze jest możliwe, a czasem niebezpieczne, a Egipt stoi wielkim otworem przed turystami od dziesięcioleci.

Tekst i zdjęcia: Robert Nawrocki

I tak większość ląduje dosłownie i w przenośni na plażach Hurghady czy innych piaszczystych resortów nad Morzem Czerwonym. Ale jak mawiał klasyk: „każdemu własne niebo”, więc kto na plażę, to na plażę, ale plaż na świecie jest wiele, a niesamowitości starożytnego Egiptu są jedyne na tym globie.

Glina kontra kamień

Sumerowie budowali swoje miasta i świątynie z gliny, bowiem na terenie Międzyrzecza kamienia brakowało bardzo. Drewno również było deficytowe, a więc mało co zachowało się poprzez burzliwe tysiąclecia. W Egipcie również dobrego konstrukcyjnie drewna nie zbywało, ale za to kamienia było aż w bród. Dzięki obfitości kamienia w starożytności, dzisiaj nadal możemy być przytłoczeni dokonaniem dawnych Egipcjan na polu architektury. Oczywiście do ogromnych osiągnięć tej cywilizacji należy również wynalazek pisma, medycyny czy matematyki, ale nic tak nie przemawia do wyobraźni współczesnego człowieka jak ogromne budowle tego starożytnego ludu, na czele oczywiście ze sławnymi piramidami w Gizie. To jedyny z Siedmiu Cudów Świata, który przetrwał do naszych czasów. A i tak dzisiejszy wygląd piramid jest tylko bladym cieniem tej wspaniałości, jaką prezentowały ponad cztery tysiące lat temu. Niegdyś powierzchnie tych ostrosłupowych konstrukcji pokryte były wspaniałym, śnieżnobiałym wapniem i musiały lśnić w afrykańskim słońcu bajecznym, wręcz metafizycznym blaskiem. Ale tysiąc lat temu słynny wódz arabski Salah- a-din (Saladyn) nakazał zerwać wykładziny, by ozdobić swoje nowo założone miasto – Kair.

Chaos, spaliny i alabastrowy meczet

Dziś to stolica tego ludnego kraju, licząca kilkanaście milionów mieszkańców. I trzeba, niestety, przyznać, że samo miasto uroku czy urody pozbawione jest całkowicie. Urbanistyczny chaos, tysiące niewykończonych budynków z wystającymi prętami zbrojeniowymi, gęsty ruch uliczny wypełniony spalinami oraz wszechobecny bród zniechęcający do zagłębienia się w stołeczne trzewia tego molocha. Ale są wyjątki – na przykład kairska starynka, skupiona wokół słynnego w świecie islamu uniwersytetu

Al – Azhar na pewno będzie połączeniem orientalnej egzotyki z estetycznymi doznaniem. Wąskie uliczki bazarów, strzeliste minarety pięknie zdobionych meczetów i ulubiona kawiarenka do której przychodził jedyny egipski laureat Nagrody Nobla, czyli Nagib Mahfuz, wartą są przynajmniej paru godzin uroczej i ciekawej eksploracji. Nie można również pominąć tak zwanego „alabastrowego meczetu” zdobionego szczyt potężnego wzgórza, na którym tysiąc lat temu zbudowano twierdzę, będącą siedzibą władców Egiptu. Sam meczet pochodzi z XIX stulecia, a faktycznie jego ściany wyłożone są drogim alabastrem.

Sławne piramidy

Jednak największe atrakcje Egiptu położone są nie w stolicy, ale w relatywnie niewielkiej odległości od niej. Giza z piramidami niegdyś była samodzielną wioską, a dziś w zasadzie jest częścią Wielkiego Kairu, oddaloną o zaledwie kilkanaście kilometrów od centrum miasta. Piramid w Gizie jest dziewięć, ale tylko trzy, to grobowce faraonów: Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa. Dużo mniejsze piramidy należą do królewskich żon. Bardzo popularne jest miejsce na płaskowyżu, na którym stoją piramidy, skąd widać wszystkie dziewięć piramid kompleksu. Teoretycznie można dojść tam pieszo, ale „mafia” właścicieli wielbłądów bardzo się stara zniechęcić turystów do tej kilkunastominutowej wędrówki, tylko po to, aby wykorzystać dwugarbny transport wielbłądów, które stoją w swojej „zajeźdni” czekając na kolejny, lukratywny dla właściciela kurs. Same wielbłądy nie wyglądają na szczęśliwe, chociaż być może nie wiem, jak wygląda szczęście wielbłądów. Najwyższą z trzech piramid, niegdyś należąca do faraona Cheopsa (a w zasadzie Chufu – bo tak brzmiało naprawdę jego imię) przez parę tysięcy lat była najwyższą budowlą na naszym globie, co jest najdłuższym rekordem w budownictwie. To też jedyna piramida, która ma rozbudowaną konstrukcję wewnętrzną ze słynną galerią korytarzową kończącą się komorą grobową władcy, która od niepamięci stoi już obrabowana ze skarbów. Jedyne stojący w rogu pomieszczenia uszkodzone sarkofagi Cheopsa jest świadectwem jego mienionej chwały. Paradoks nauki polega na tym, że do dziś nie ma żadnej prawdopodobnej i uznanej powszechnie naukowo teorii, w jaki sposób, prawie cztery i pół tysiące lat temu, budowniczowie tej gigantycznej, wznoszącej się na ponad sto czterdzieści metrów ponad podłoże, dokonali tego niezwykłego wyczynu. Architekci dysponowali wtedy najprostszymi narzędziami mierniczymi na bazie sznurka i ciężarka, a budowniczowie operowali dłutami z miedzi, która jest bardzo miękka. Piramidy w Gizie dzierżą również kolejny rekord w obszarze piramidalnych bzdur, które sugerują zatrudnienie „zielonych ludzików” z innej planety jako inwestorów tych kamiennych konstrukcji.

Sarkofag faraona

Piramidy w Gizie nie są najstarszymi piramidami w Egipcie. Nie tak daleko znajduje się miejsce zwane Sakkara, gdzie powstała pierwsza piramida na świecie. Należała do faraona Dze-





sera i nie miała jeszcze tak typowej konstrukcji ostrosłupowej. Była skonstruowana przez genialnego architekta Imhotepa jako sześć tarasów zwanych mastabami, wznoszących się jeden nad drugim w coraz mniejszym rozmiarze. Nazwano ją „piramidą schodkową” i przez wiele lat uznawana była za najstarszą na świecie budowlę kamienną. Do czasów, gdy na terenie Turcji odnaleziono kompleksy świątynne w Gebekli Tepe, ale to już inna historia. Nie tak dawno udostępniono wejście do komory grobowej faraona Dżesera, gdzie turyści mogą spojrzeć w dół ogromnego szybu wykutego w skale, gdzie na samym dnie odnaleziono sarkofag faraona, choć niestety już bez lokatora. Przez całe dziesięciolecia komora była niedostępna nawet dla archeologów z powodu możliwości zawalenia się. Jednak parę lat temu pewna europejska firma podjęła się zadania wzmocnienia sklepienia komory, i od tego czasu turyści z całego świata mają dostęp do serca najstarszej piramidy. Tylko krótki, trochę kręty korytarz prowadzi kilkadziesiąt metrów do serca budowli, i trudno uwierzyć, że archeolodzy odkopali pod piramidą parę kilometrów takich korytarzy, a w nich odnaleziono kilkadziesiąt tysięcy kamiennych naczyń. Trudno ogarnąć taką skalę, a jeszcze trudniej zrozumieć, po co tyle zabiegów i czemu służyły.

Łamana i czerwona

Jednak grobowiec faraona Dżesera nie był klasyczną, ostrosłupową piramidą, jaką stworzył człowiek. Ta znajduje

się całkiem niedaleko w miejscu zwanym Dahszur i chlubi się dwoma piramidami zbudowanymi przez tego samego faraona Snefru, który był ojcem Cheopsa. Po co były mu dwie piramidy? Bo pierwsza nie udała się. Gdy robotnicy mieli ukończone dwie trzecie pracy, okazało się, że piramida zaczyna pękać i się rozpada. W desperacji architektki postanowili zmniejszyć kąt nachylenia ścian, aby zredukować ciężar konstrukcji i poniekąd zabieg się udał – piramida stoi do dziś. Tyle że pod względem estetycznym wyszła mała katastrofa. Piramida wyszła nieforemna, i do dziś nazywa się ją piramidą łamaną, co jest trochę lekceważące w stosunku do poważnej piramidy. Nie zniechęcony Snefru nakazał budowę kolejnej piramidy. Nosi nazwę „czerwonej”, bowiem kamień, z którego ją wzniesiono, ma odrobinę czerwonawe zabarwienie. Ja tego koloru nie dostrzegłem, ale wierzę innym, że dostrzegli.

Na horyzoncie wiecznie przybrudzonym piaskiem nawianym z Sahary mającą zarysy paru innych piramid, a raczej potężnych i zarazem smutnych stert gruzu, które niegdyś były piramidami. Należały do faraonów z czasów późniejszych, czyli piątej i szóstej dynastii, i należy dziwić się, że technika wznoszenia potężnych konstrukcji nie tylko nie uległa ulepszeniu, a wręcz przeciwnie – całkowicie upadła. Sam Kair i okolice warte są paru dni pobytu, a to przecież tylko przedsmak tego, co Egipt może zaoferować turystyce poruszającemu się w górę Nilu.

OSIEDLE HOLENDERSKIE

**Osiedle
Unii Europejskiej**

**Nowe
gotowe mieszkania
ul. Holenderska**



LECHBUD KOSZALIN

Koszalin ul. Podgórna 8

www.lechbud.pl

94 342-62-77

663-746-451

lechbud-koszalin@wp.pl

Smaki Toskanii



Toskania to region, który zachwyca nie tylko malowniczymi krajobrazami, ale przede wszystkim bogactwem smaków i aromatów. To tutaj proste składniki zamieniają się w wykwintne dania, a tradycja spotyka się z nowoczesnością na każdym talerzu. Włoska kuchnia, pełna słońca, świeżych ziół i dojrzałych serów, może inspirować. Dziś zapraszamy do odkrycia wyjątkowego menu przygotowanego przez kucharza Macieja Buczkę, który zabierze Was w podróż po tokańskich smakach. Wśród propozycji znajdziecie zarówno klasyczne połączenia, jak i oryginalne interpretacje lokalnych przysmaków – od zapiekanego pecorino z trufkami, przez makaron z owocami morza w aromatycznym sosie pomidorowym, aż po delikatną ricottę z miodem i orzeszkami pinii.

Ser pecorino zapiekany z trufkami

(porcja na jedną osobę)



Składniki:

- 100 g sera pecorino (najlepiej świeży, nie długo dojrzewający)
- 1 łyżka pasty z trufli
- 2 kromki ulubionego chleba.



Sposób przygotowania:

Do małego naczynia nadającego się do zapiekania dajemy łyżkę pasty z trufli i posypujemy startym na średnich oczkach serem. Zapiekamy go w 180 stopniach, aż się zarumieni. Grzanki możemy wrzucić w międzyczasie do piekarnika i również zapiec.



Makaron z owocami morza w sosie pomidorowym

(porcja na jedną osobę)



Składniki:

- 100 g muli
- 100 g krewetek
- 100 ml pasaty pomidorowej
- 200 g makaronu
- łyżka oliwy
- sól
- pieprz
- natka pietruszki.



Sposób przygotowania:

Na patelni dajemy oliwę, wrzucamy krewetki i mule. Do tego szczypta soli i pieprzu. Smażymy krewetki, aż się zarumienią. Dodajemy pastę i trzymamy ją na średnim ogniu, aż się lekko zredukuje. W międzyczasie gotujemy makaron. Kiedy jest al dente, dodajemy bezpośrednio z wody na patelnię i chwilę gotujemy. Po przełożeniu na talerz posypujemy drobno posiekaną pietruszką.



Świeża ricotta z miodem

(porcja na jedną osobę)



Składniki:

- 200 g ricotty
- cukier waniliowy
- 1 łyżka stołowa miodu
- orzeszki pinii do posypania.



Sposób przygotowania:

Ricottę mieszamy z cukrem waniliowym. Wkładamy ją do małej foremki, a następnie układamy na talerz do góry nogami. Polewamy miodem i posypujemy orzeszkami pinii.



Notowała: Magdalena Wojtaszek
Zdjęcia: Lukrecja Buczek



28 lat później

Danny Boyle i Alex Garland – reżyser i scenarzysta – wspólnie nakręcili kolejną odsłonę cyklu rozpoczętą kultowym „28 dni później”. Kontynuacja „28 tygodni później” w reżyserii Juan Carlos Fresnadillo, mimo że sam w sobie był filmem dobrym, takiego pazura już nie miała. Boyle i Garland musieli wrócić do wspólnego projektu, byśmy dostali powtórkę z rozrywki, którą dała nam „28 dni...”. Trzeba przy tym zaznaczyć, że obaj są twórcami, którzy nie robią filmu o zombie po to, by zrobić film o zombie. Chcą coś przekazać, podzielić się, opowiedzieć historię z morałem. Mamy więc postać syna i ojca. Pierwszy patrzy na drugiego jak na bohatera, jednak tylko do momentu, kiedy uświadamia sobie, że ojciec jest człowiekiem jak każdy człowiek – niedoskonałym, pełnym wad. Do tego dochodzi wątek chorej matki i usilnej próby uratowania tego, czego nie da się uratować – a to wszystko po to, by dojrzeć do jednego, naprawdę jedynej pewnej rzeczy w świecie. Wszyscy umrzemy. Ciężki temat, ale to właśnie jest elementem składowym filmów Boyle i Garlanda.

Oczywiście, jak przystało na zombiaki, nie zabraknie tu uciekania przed nimi i bryzgającej krwi. Ale jest to jedynie pretekst do namalowania czegoś pięknego. Bo tak, film jest piękny w swojej makabresce, ale nie tylko. Prowadzi do finału podróży, który może zszokować, ale i wycisnąć łzę. Niemniej sceny akcji zrealizowane są przepięknie. Jest w filmie jedna, mniej więcej w połowie, którą trudno się ogląda – a to właśnie przez rosnące napięcie. Dawno nie czułem czegoś takiego podczas seansu. Wielka w tym zasługa montażu. Agresywne, szybkie cięcia, krótkie ujęcia zainfekowanych, którzy nie tylko mają przewagę liczebną, ale też biegają (w „28 dni później” ten zabieg został użyty po raz pierwszy w historii).

Na osobny akapit zasługuje ścieżka dźwiękowa. Szkocki zespół Young Fathers odstawił tu taki cyrk, że tego nie da się opisać; trzeba to usłyszeć. I wybory, jakich dokonano, o retę. Scena krwawej jatki okraszona hiphopowym, gospelowym dżinglem. Ucieczka przez las, a w tle głośne, elektro-punkowe jazgoty. Ucieczka przed pewną śmiercią na tle niepokojąco bucącego basu. Naprawdę, trzeba to usłyszeć – koniecznie w kinie, przy dobrym nagłośnieniu, lub dobrych słuchawkach.

Trzeba jednak zaznaczyć, że film będzie miał podzielone opinie, ponieważ jest bardzo niejednorodny. To nie jest tylko efektowny akcyjniak z zombie w tle, ani tylko moralitet. Tu jest wszystko, od strachu poprzez zadumę nad życiem i śmiercią, od napięcia po złapanie oddechu komedią. Są piękne ujęcia, bardzo „ziarniste”, jakby kręcone telefonem sprzed piętnastu lat. Wygląda to trochę, jakby spisane pomysły rzucić do góry i zrealizować te, które spadną na biurko.

Na „28 lat później” poszedłem do kina dwa razy. Jeśli zdąży, pójdę po raz trzeci. A w dzień debiutu na platformie streamingowej obejrzę po raz kolejny. Warto, naprawdę warto.

Michał J. Chmielewski



Z archiwum Q.

Do obejrzenia serialu, w którego opisie występują tak zgrane motywy jak „arogancki policjant”, „wydział do spraw niewyjaśnionych” oraz „tajemnicze zaginięcie” skłoniło mnie nazwisko Scotta Franka, scenarzysty m.in. „Raportu mniejszości” i „Gambitu królowej”. Jeszcze bardziej, że jest to serial brytyjski, a te – niezależnie od gatunku – uważam za osobne zjawisko filmowe.

I znów zawodu nie ma. Wydawałoby się kolejny kryminał (re-make skandynawskiego filmu sprzed piętnastu lat na bazie powieści „Kobieta w klatce” Jussi Adler-Olsena), ale opowiedziany językiem ripost, które chce się zapisywać, błyskotliwych dialogów i utopiony w nienachalnie przyjaznym szkockim pejzażu ma nieuchwytną jakość brytyjskich produkcji. Zagadka jest interesująca, widz konsekwentnie wywożony na manowce, wątki poplątane, domysłów na pęczki. Słowem – cymes.

Zadaniem tytułowego wydziału Q. jest odwrócenie uwagi od porażek edynburskiej policji i pretekstem do pozbycia się z wydziału zabójstw Carla Morcka, detektywa znakomitego, ale nieznośnego, w dodatku uczestnika fatalnej akcji, w której zastrzelony został młody funkcjonariusz, a przyjaciel sparaliżowany.

Zgodnie z zasadą „chcesz się kogoś pozbyć, to go awansuj”, Morck ląduje w zapuszczonej piwnicy, co symboliczne, bo departament Q pod jego kierownictwem ma zająć się nierozwiązanymi sprawami z zakurzonych od lat kartotek. I odnieść, pożądaną dla policji, wizerunkowy sukces.

W zespole Morcka ląduje Akram o uosposobieniu księgowego, ale z komandoskimi umiejętnościami i niejasną przeszłością, nadpobudliwa, bystra Rose z niezwykłą fryzurą i sparaliżowany kolega Hardy, który pomaga rozwiązywać sprawę między depresją a rehabilitacją. Morck ma też szefową i psycholożkę, z którymi ekranowe rozmowy mogłyby być lekcją dla adeptów scenariopisarstwa, i syna w wieku nastoletnim, czyli wiadomo – kłopoty. Rzeczywiście jest antypatyczny, jednak nie przekracza granic śmieszności. Zresztą wszystkie postacie napisane są świetnie, tworząc galerię osobowości, ale nie osobliwości.

Czego dotyczy główne śledztwo, nie ma co przybliżać – historia jest niebanalna i przyprawia przynajmniej o dreszcze. W tle jest jeszcze inna sprawa – Morck tropi sprawcę wspomnianej strzelaniny i próbuje sobie poradzić z traumą. Mamy więc kilka planów czasowych, wiele wątków i tajemnic do rozwikłania, a do tego delikatną kpinę z wymiaru sprawiedliwości.

Umieścić to wszystko w jednym filmie i nie stworzyć pretensjonalnej, jakich wiele, ale rasowy, inteligentny kryminał z ciekawym obyczajowym odbiciem, trzeba umieć.

Oby kolejne sezony (bo będą) dorównały pierwszemu.

Anna Makochonik



2 bobry i zachód słońca

Klawo to trójmiejski skład muzyków, zwany zadaniowym live bandem. Wszystko zaczęło się od spotkania na scenie, wykonując wspólnie na żywo materiał z solowej kasety „Flądra” Konstantego Kostki. Tworzą muzykę instrumentalną, która – jak to często ostatnio bywa – wymyka się prostym klasyfikacjom gatunkowym. Można określić, że jest to nastrojowy klimat, często filmowy, który niesie za sobą potężny ładunek energii. Jednak największą wartością są ich występy na żywo, w których improwizacja odgrywa bardzo ważną rolę. Bawią się muzyką, a na ich koncertach ma być „bang”.

Tak było w 2021 roku podczas Good Vibe Festival. Wtedy poznaliśmy ich utwory z pierwszego albumu „Klawo”, z którego pochodzi chociażby świetny numer „Wdzięczność”. W tym projekcie grają – Konstanty Kostka – instrumenty klawiszowe, syntezatory, wokół / Jakub Krzanowski – perkusja / Malina Midera – instrumenty klawiszowe, syntezatory, wokół / Tomasz Rafalski – instrumenty klawiszowe, syntezatory / Alicja Sobstyl – flet, wokół / Artur Szalsza – gitara elektryczna i basowa / Karol Tchórz – trąbka. Przez te kilka lat zespół koncertował i pracował nad kolejnym materiałem studyjnym. Jędrzej Dudek z P.Unity określa ich - „Klawo zagląda do starej szafy, ale tej bez trupów. Dziadkuje im Herbie Hancock i współwyznawcy gruwającego 70'sowego jazzu”. Łączą ze sobą m.in. funk, jazz, neo-soul i hip-hop, a nawet punk rock tworząc spójną opowieść. Ich muzyka sprawia, że nawet w pochmurny dzień można znaleźć trochę promieni słońca. W tym roku wydali nowy album zatytułowany „2 bobry i zachód słońca”, to kolejny krok w ich artystycznym rozwoju. Już sam tytuł sygnalizuje pewien luz i dystans. Krąček jest spójny brzmieniowo, a jednocześnie różnorodny. Kolejny raz znajdziemy w nim ciepłe, letnie motywy (np. w numerach „Ballhead” czy „Mokotów”), ale także nie zabranie bardziej miejskiego, pulsującego groove'u („Kwiczoty”, „Zachód słońca”). Skład nie zawsze potrzebuje wokalu, żeby opowiedzieć swoją historię – robią to nastrojem i dźwiękami. Wśród atutów mogą nadal wymienić – świeżość, autentyczność i dobrą produkcję. Za każdym razem w ich melodiach odkrywam nowe smaczki. Na albumie słysząc inspiracje takimi zespołami jak – Khruangbin czy BADBADBOTGOOD. To jest też taka propozycja, w której nie narzekam na brak wokalu (numer 101). Można ją puścić w tle – i pozwolić jej działać na nas podskórnie, ale równie dobrze można usiąść w słuchawkach i z uważnością chłonąć tę muzykę warstwa po warstwie. Na szczególną uwagę zasługuje też „2hot2funk” ze specjalnym gościem.

Klawo ma na siebie pomysł i dużą wyobraźnię. Miejmy nadzieję, że jeszcze kiedyś pojawią się w Koszalinie za sprawą jakiegoś festiwalu.

Magdalena Wojtaszek



Refugee – Refugee

Zespół Refugee to meteor, który przemknął przez nieboskłon muzyki rockowej w 1974 roku, przez chwilę zajaśniał blaskiem prawdziwych gwiazd sceny progresywnej, by chwilę później zgasnąć w niebycie zapomnienia. Kto dziś pamięta o tym zespole, który stworzył jedną z najpiękniejszych suit rocka symfonicznego o tytule „Grand Canyon”? Może paru wielbicieli tego typu muzyki w wieku dinozaurów jak autor tej recenzji.

Zespół wydał jedną płytę studyjną i jedną koncertową. To wszystko, ale wystarczyło, aby trwale zapisać się w mej wdzięcznej pamięci.

Grupę stworzyło trzech doświadczonych muzyków: Lee Jackson (śpiew, gitara basowa) i Brian Davison (perkusja) i najważniejszy muzyk w grupie, czyli Patrick Moraz grający na klawiszach. A przede wszystkim doskonały kompozytor. Lee Jackson i Brian Davison byli muzykami sławnej kapeli „The Nice”, która była jedną z prekursorów rocka symfonicznego. Jej liderem był genialny pianista Keith Emerson, który po latach uznany został za najwybitniejszego klawiszowca w dziejach muzyki rockowej. Zasłużenie. Ale Emerson miał własną wizję muzyki, więc odszedł od „The Nice” i założył jedną z najważniejszych grup rockowych jakie istniały, czyli Emerson, Lake and Palmer. Lee Jackson i Brian Davison zostali w zasadzie „osieroceni” i szukając własnej drogi na muzycznej scenie zwrócili się do zupełnie wtedy nieznanego muzyka ze Szwajcarii Patricka Moraza z propozycją współpracy. I tak powstała grupa „Refugee” i jej jedyne album o tym samym tytule.

Płyta jest niejednorodna, widać, że zespół szukał własnej drogi i jeszcze nie skonkretyzował jednorodnego stylu. Głównym kompozytorem został Moraz, a pozostali członkowie zespołu w zasadzie „przygrywali” Morazowi. To na klawiszach spoczęło brzmienie zespołu, a Moraz był ich wirtuozem dysponującym wyjątkową sprawnością techniczną. Szczęśliwie sprawność kompozytorska nadążyła za techniczną, choć powstała płyta bardzo nierówna. Są utwory, których słucha się wręcz z irytacją ze względu na nieznośną manierę Lee Jacksona, który czasem śpiewał wręcz skrzekliwym głosem, niszcząc doznania muzyczne słuchacza. Ale na płycie znajduje się trzyczęściowa suita „Grand Canyon”, która wynagradza pozostałe niedogodności odsłuchu. Tak naprawdę, płytę warto nabyć choćby dla samej suit, która jest połączeniem przepięknej melodyki, dla której Jackson przestał skrzeczeć i zaczął wydobywać z siebie normalne dźwięki, oraz wirtuozerii Moraza, który tak zachwycił świat muzyczny w owym czasie, że współpracę zaproponował mu ówczesny gigant rockowej sceny, czyli zespół Yes. Zespół rozpadł się, zanim okrzepł. Pozostawił po sobie perłę, której blask do dziś nie wyblakł.

Robert Nawrocki

KRZYŻÓWKA NA LATO

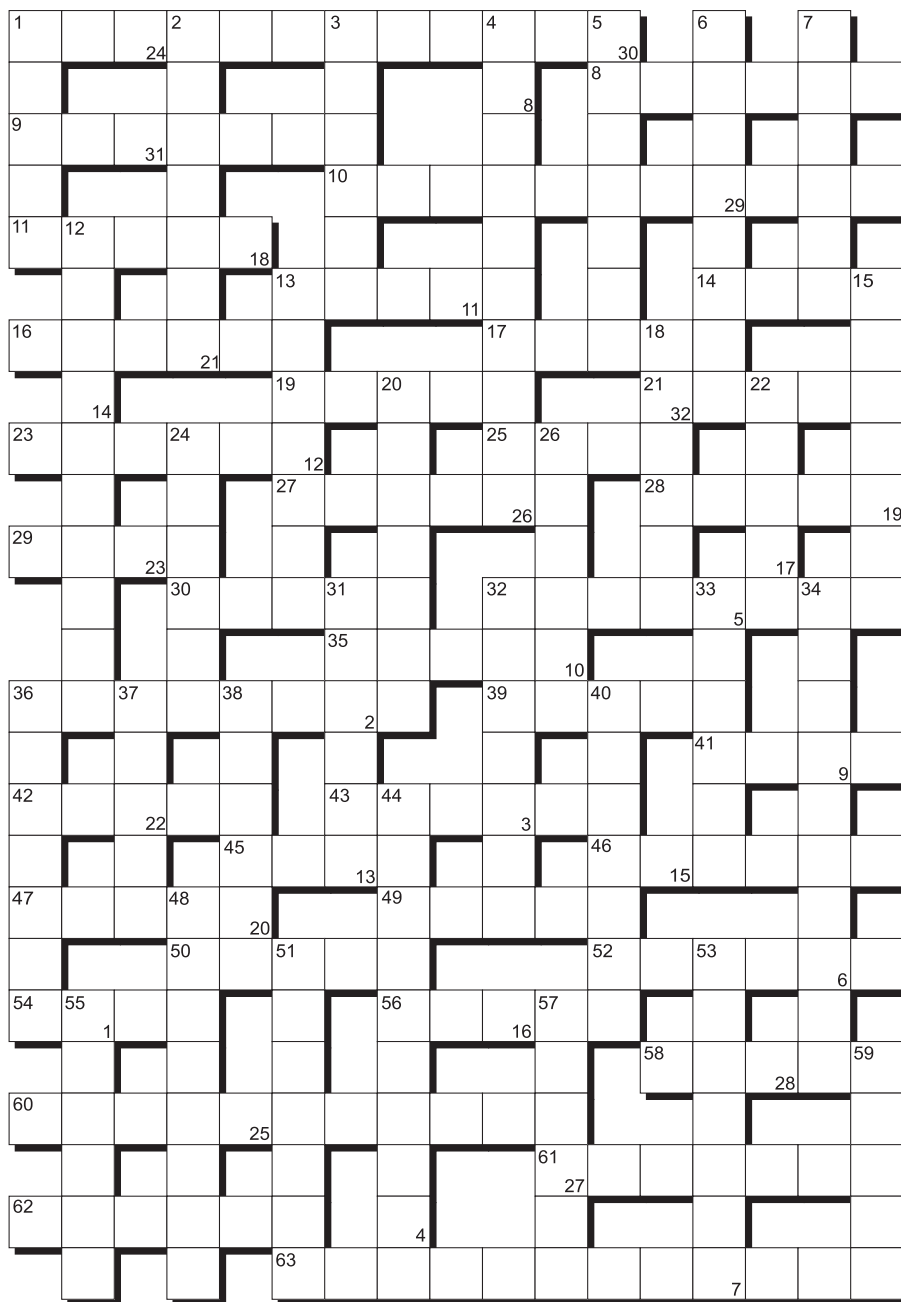
Litery z pól dodatkowo ponumerowanych w prawym dolnym rogu, uporządkowane od 1 do 32, utworzą dodatkowe rozwiązanie, którym jest polskie przysłowie ludowe. Życzymy przyjemnych chwil z rozrywką!

Poziomo:

- 1) urządzenie takie jak np. syrena alarmowa, dzwonek, głośnik czy semafor świetlny
- 8) wydawca
- 9) tablica ważna dla pasażerów na dworcu kolejowym albo autobusowym
- 10) Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety
- 11) japońska walka szermiercza na kije bambusowe
- 13) kłozet, wygodka
- 14) inna nazwa jamnika szorstkowłosego
- 16) były mąż
- 17) obłoki mgły nad bagnami; wyziewy
- 19) dom nałożnic sułtana
- 21) zamek błyskawiczny albo ciastko z kremem
- 23) skórzany futerał na pistolety, przyczepiony do siodła
- 25) za nim szedł dawniej oracz
- 27) pojazd gąsienicowy do ubijania śniegu
- 28) jon o ładunku ujemnym
- 29) wymiana argumentów, polemika
- 30) wieś w pow. Nakło (woj. kujawsko-pomorskie)
- 32) rodzaj oprawy np. grafiki
- 35) rzadki ssak afrykański z rodziny żyraf
- 36) jedno ze zbóż
- 39) małpka z lasów Madagaskaru
- 41) niechęć, animozja
- 42) coś co nęci, przyciąga uwagę
- 43) drobna różka w filmie
- 45) pasą się na niej krowy, konie, osły
- 46) pozostałość po ściętym zbożu
- 47) tkanina ubraniowa kojarząca się z Toruniem
- 49) gatunek antylopy afrykańskiej (anag. słowa LIANA)
- 50) głębia oceanu, kipieli
- 52) kluski z sera, mąki i jaj
- 54) człowiek przebiegły, szczerwany
- 56) stopień w dzienniku szkolnym
- 58) każdy ma dwie strony
- 60) liczba ludności na jakimś terenie
- 61) aromatyczna przyprawa do ciast, lodów, likierów
- 62) Tina (zm. 2023) piosenkarka soulowa i rockowa
- 63) kobieta porwana dla okupu.

Pionowo:

- 1) dekolt w kształcie trójkąta
- 2) imię Dyzmy, głównego bohatera jednej z powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza
- 3) „dzienniczek” studenta
- 4) urządzenie stosowane przez strażaków do wypompowania wody z zalanych piwnic, wykopów, szybów
- 5) kryzys finansowy i gospodarczy państwa
- 6) specjalista od metod nauczania
- 7) przeciwieństwo odskoku
- 12) ulubione drzewo koali
- 13) ukraińskie miasto nad Użem, przy granicy ze Słowacją
- 15) warszawska ... , symbol naszej stolicy
- 18) meble do bibliotek, księgarń, archiwów
- 20) ćwiczenia kształtujące poczucie rytmu
- 22) jedna z partnerek króla zwierząt
- 24) wymioty
- 26) szlochanie



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16
17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32

- 31) włosy spięte w węzeł
- 32) wrodzony brak narządu np. nerki, jajnika
- 33) adwentowa msza
- 34) Helena (zm. 1943) autorka powieści „Trędowata”, „Gehenna” i wielu innych
- 36) jeden z gatunków literackich
- 37) afrykańskie zwierzę w białoczarne pasy (albo czarno-biały)
- 38) liczba egzemplarzy jednego wydania książki
- 40) chłopiec – roztropek
- 44) bućik utracony przez Kopciuszka

- 48) liryczny utwór instrumentalny, zwykle na fortepian, inspirowany nastrojem nocy (wpisz w l.mn.)
- 51) zajmuje się mieleniem zbóż na mąkę albo kaszę
- 53) narodowość Tomasza Manna, Alberta Einsteina albo Svena Hannawalda
- 55) żołnierz, który spędził na wojnie wiele lat
- 57) sieć włokowa
- 59) tropikalne pnącze (skojarz z Tarzanem).

MAK

ZAPRASZAMY!!!

STACJA KONTROLI POJAZDÓW

pn.-pt. 8:00-18:00
sob. 9:00-13:00



NR ZK/018/P

tel. 668 308 308

Koszalin, ul. Kolejowa 7B

Tu znajdziesz 
M MIASTO PLUS

Kultura

- Centrum Kultury 105, ul. Zwycięstwa 105
- Koszalińska Biblioteka Publiczna, pl. Polonii 1
- Bałtycki Teatr Dramatyczny, pl. Teatralny 1
- Filharmonia Koszalińska, ul. Piastowska 2
- Centrum Rozrywki „Na Pięterku”, ul. Jana Pawła II 15a

Handel i usługi

- Telewizja Kablowa Koszalin, ul. Kotarbińskiego 3
- Biuro Podróży Turysta, ul. Andersa 3
- C. H. Emka, ul. Jana Pawła II 20
- Hotel Gromada, ul. Zwycięstwa 20

Biznes

- Centrum Biznesu, ul. Zwycięstwa 42
- Koszalińska Izba Przemysłowo-Handlowa, ul. Zwycięstwa 126

Inne

- KSM „Przylesie”, ul. Fałata 13
- KSM „Na Skarpie”, ul. Na Skarpie 17
- Regionalne Centrum Informacji Turystycznej, ul. Dworcowa 11-15

Kawiarnie

- Kaliszczak, ul. Zwycięstwa 26a
- Kawiarnia Sowa, ul. 1 Maja 9a
- Koci Miętka, ul. Zwycięstwa 78

Miesięcznik dostaniesz również w Dziale Reklamy Telewizji Kablowej
Koszalin, ul. Krzyżanowskiego 4



DOMSTYL

największy salon
sprzedaży w regionie

**BRAMY • DRZWI • OKNA
PODŁOGI • ROLETY**

ul. Morska 4a, 75-218 Koszalin, tel. 94 300 00 14
domstyl.koszalin@op.pl
www.domstyl.koszalin.pl

Salon czynny:
pon-pt: 9-17, sob: 9-13